

- ★ Dwa spojrzenia na Sieradz
- ★ Przemysł starożytnych skarbów
- ★ Kwiatusek dla pielęgniarce
- ★ Trudna droga od rewolucji do socjalizmu

# Lódź tygodnik społeczno-kulturalny

# Odgłosy

NUMER 28 (1319) ROK XXVI 9 LIPCA 1983 ROKU CENA 15 ZŁ

## Reforma w gumiakach

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Srodki masowej komunikacji kursują teraz regularnie. Spóźniłem się więc tylko kwadrans, ale dyrektor krążył już po gabinecie jak lew w klatce.

— Sam pan sobie, redaktorze, krzywdę uczynił, mamy niecałą godzinę na rozmowę. Potem mam kontrolę, tu narada, spotkanie, tu wizytacja — oparł palec na kalendarzu, gdzie pod słowną datą widniały różne hasła szyfrowane na czerwono.

Nim jednak przeszliśmy z konieczności spieszenie do tak zwanego meritum, mój rozmówca zaszerwował mi jeszcze błyskawiczny test na inteligencję.

— A wie pan, co my tu tutaj więcej produkujemy? — rzucił z podejrzliwym uśmiechem.

— No jakże: kaloszek, gumiaków różne, słynne „gumofilce”... — niepewnie jakoś odpowiadałem.

— A tenisówki? — padło pytanie nader podechwylliwe.

— Ile mam jeszcze czasu i gdzie się ukazuje zegar? — próbowałem żartować, ale w końcu zdecydowałem się na odpowiedź negatywną, choć prawdę powiedziawszy w stu procentach pewności nie miałem (może jakiś nowy program operacyjny, albo produkcja w ramach rezerwy...).

— No, nieźle, gra pan dalej? — dyrektor wyraźnie się rozchmurzył. I nie czekając na odpowiedź dodał: — Nareszcie jeden, który ma w ogóle pojęcie, co robi „Gumówka” przy Wersalskiej. Niektórzy pańscy koledzy z dzienników wciąż tej jasności nie mają, a tygodnik „Veo” dostał od nas ostatnio „czerwoną kartkę” za dziennikarski bubel, sugerując mi publiczną produkcję jakichś felietonów „pepeggów”.

Zadowolony, co by nie rzec, z wstępnego testu, od razu odbiłem piłeczkę.

— A czyj to patent z zatrudnianiem przez specjalistycznego giganta rolników z całego kraju w myśli hasła „Chcesz mieć kalosze — wyprodukuj je sam”? — zaczętem nęcić zjadliwie.

— Tak, sytuacja jest poważniejsza, niż się to w ogóle wydaje — dyrektor ANDRZEJ BŁOCH poklepał w zamysłeną głowę. — Pani Maryla — to sekretarka, która pokazała się w drzwiach — dla redaktora kausę, dla mnie, coś zimnego na te ubaki i nie ma mnie dla nikogo do jedynastej.

— Wie pan — ciągnął po chwili — ustawa o możliwości przejścia na wcześniejszą emeryturę dla nas była katastrofą. Po prostu efekt był taki jakby jednego dnia ustalał się wiek od maszyn 600 osób. Najlepszych fachowców, z wieloletnim stażem, doświadczonych, co to już dzieci nie rodzają i swoje w życiu wychorowali. A były przecież „normalne emerytury” jeszcze. Krótko mówiąc: w ciągu

jednego tygodnia zamiast niezbędnych około 3200 osób, zatrudniałem zaledwie — 2500.

— A tu już krzyk szedł wielki przez kraj: butów nie ma! Kaloszy brakuje! Rolnik na bosą nogę chadzał! Gdzie te gumofilce!

— Tak jest, rynek stał się nerwowy jak nigdy, każda ilość naszego (i nie tylko) obuwia błyskawicznie znikła ze sklepow, raptem okazało się, że nie możemy nastarczyć nawet butów ochronnych i roboczych.

— To dziwne, jeszcze nie tak dawno nawet najbardziej rozmówczani w zasadach bhp pracownik wolał ekwiwalent pieniężny. Ale czasy się zmieniły, zamiast paru złotych on się dziś domaga stanowczo przydziałowych gumiaków i worka, bo to przecież można natychmiast z zyskiem sprzedać.

— Trafiał pan w sedno. Niestety. Wspomniane „gumofilce” kosztują na rynku bodaj 3 tysiące złotych, choć oficjalna cena nie przekracza 600 złotych.

— Hossa na wszystko, co na nogę można wsiąść, a tu brak ludzi do pracy i jak znam życie — nieco kłopotów z surowcami i kooperantami. Ściągają zapiaśki...

— O nie, nie w tej firmie, Metody wyjścia z dołka były i są tylko dwie: przede wszystkim stworzenie takich warunków, aby ludzie chętniej niż dotychczas godzili się na pracę w przemyśle chemicznym, czyli również w „Stomilu”.

— Krótko mówiąc — wyższe płace; a jakie one są dziś? — Średnio, w granicach 13 tysięcy, z rekompensatą. To nie jest dużo, zwłaszcza, że i robota tu to nie laboratorium. Upał na wydziale pras, siarka, pył kredowy — to także decyduje, że ludzie niechętnie przychodzą tu do pracy.

— Łódzki rynek pracy wyjałowiony jest zupełnie, ogłoszenia niewiele więc zapewne pomagają...

— Parę osób zawsze się zgłosi, ale myślimy, potrzebowaliśmy i potrzebujemy nadal około 800 osób.

— A ci rolnicy z Suwałk? — Wie pan, to przypomniało mi się, że w sieci o tej minionej zimy zatrudniłem na parę miesięcy około 90 osób, podpisaliśmy umowy z kilkunastu gospodarzami, a także z przedsiębiorcami, które blagami o nasze obuwie. Taki rezerwowy przydział ludzi, zakład ich, szkolił, zapracował, wtedy do nich hotelu pracowniczego (przy okazji remontować je musieliśmy i wyposażać...) no i przysyłał ich do pracy.

— Oni zarabiali pieniążki a mój przydział firma „w nagrodę”, mogła kupić poszukiwane obuwie ochronne...

— Mniej więcej właśnie tak. Tylko, że przychodzili tu „ak za karę, a mnie to i tak problemu generalnie nie rozwiązu-



Foto: Mirosław Zajdler

je. Nie wyobrażam sobie zresztą tego typu działalności na dłuższą metę, to mogą być wyłącznie działania doraźne.

— Bo rynek wciąż płacze o nowe, większe dostawy...

— Tak jest, wymaga się ode mnie niemal podwojenia produkcji. I to jest paradoks, bo takiej wydajności pracy, jak obecnie, w historii tego zakładu jeszcze nie notowano.

— Proste porównanie: w 1978 roku rynek otrzymał od nas 8 milionów par obuwia i nie było problemu kalosza, a zatrudnialiśmy ponad 3300 ludzi. Dziś pracuje 2450 osób, a tegoroczna produkcja przekroczy 8,600 tysięcy par.

— Realizuje pan wszak dwa programy rządowe... — Tak, i z zaciśniętymi zębami, zgodnie z zobowiązaniami, damy 5150 tysięcy par obuwia roboczego i ochronnego, w tym prawie 960 tysięcy tych nieszczęsnych gumofilców. To zrealizujemy.

— Ale jest jeszcze program „Obuwie rynkowe”.

— Niestety, łączna nasza produkcja jak mówiliśmy, wyniesie w tym roku 8640 tysięcy par i to jest naprawdę wszystko na co nas stać. Pozostaje więc

gdzieś około 3,5 miliona par obuwia popularnego, które trafi do sklepów. A potrzeby oblicza się na jeszcze dwa miliony. I cholera, dajmy radę, gdybyśmy mieli ludzi.

— Wspominał pan o dwóch metodach wyjścia z obuwniczego dołka?

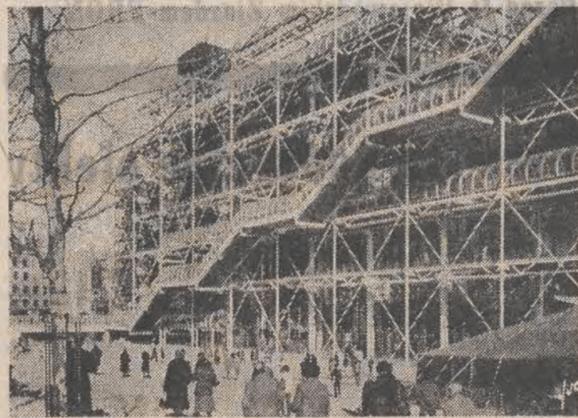
— Owszem, i to jest styl pracy, na jaki chcemy się jak najszybciej przestawić — nowoczesna, wysoko wydajna technologia.

— Czyli nowe maszyny, ale kiedy i jakie?

— Będą to... — Przepraszam, panie dyrektorze — do pokoju wsuwa się pani Maryla — już są...

No tak, w najciekawszym momencie musimy przerwać rozmowę. Kontrola czekać nie będzie. Zwijam manieje i ustępuję pola, wierząc, że jeszcze dziś uda się dokonać czegoś ciekawego. Dostaje się póki co, pod opiekunice skrzydła inżyniera BOHDANA WITKA — kierownika oddziału wtrysku i ruszam „w zakład”.

Konfekcja. Podstawowy wydział. Tu powinny powstawać butki będące wizytówką firmy; male



## Jest o czym dumać na paryskim bruku

(Korespondencja własna z Francji)

— Nowy prezydent, nowe ceny i nowe modele samochodów — tak odpowiedziałem na pytanie moich francuskich przyjaciół, gdy zagadnili mnie pierwszego dnia, przy wieczornym aperitifie, jak znajduje Paryż po pięciu latach. Moja odpowiedź to — taki sobie — konwersacyjny wykręt, bo zmiany są wyraźniejsze i odczuwalne na każdym kroku.

W ciągu tych pięciu lat, jakże minęły od czasu mojego poprzedniego pobytu w „la douce France” — o czym pisać nie muszę — nie tylko „słodka Francja” przeżywała swoje bessy i bessy (tych drugich jest znacznie więcej) i to we wszystkich aspektach życia. A i Polacy, gdy znajdują się po tej stronie, teraz, w końcu czerwca 1983 roku, rozglądają się

wokół oczami o swojskie wyostżonym spojrzeniu. Zresztą wszystkie moje spotkania, tu w Paryżu, czy to z Polakami, przybyłymi do Francji kilkanaście miesięcy temu, czy też z Francuzami, którym obecny obraz naszego kraju rysują — też swojskie — tutejsze mass-media, miały charakter — by tak ufologicznie określić — „spotkań trzeciego stopnia”, nieskrywana ciekawość, początkowo pewien dystans, no i mnóstwo pytań. Człowiek z Półkuli stał wojennego, o którym mało kto wie, że jest zawieszony, to istny „Extra Terrestrial” z filmu Spielberga.

— Wiesz — opowiada mi znajoma — że kiedy poprosiłam Jeana-Michela, aby coś kupić na

5

## Nasz dziadeczysty

PAWEŁ TOMASZEWSKI

„Kaźda próba, która dąży do usunięcia trudności językowych pomiędzy narodami, zasługuje na uwagę i poparcie”.

— prof. Stanisław Helczyński

Najpierw nauczył siostrę. Miała wtedy sześć siedem lat i podobno się jej, że ze starszym bratem może rozmawiać w języku, którego nikt nie rozumie. Próbował też z rodzicami, ale nie chcieli. Ojciec to nieraz nawet denerwował się, że syn ma takie zwarlowane pomysły, lecz coś było robić — uparł się już. Dał się za to namówić kuzyn ze strony matki. Potem jego „ofiara” padła koleżdy ze Spornej i z Warszawy, wreszcie — żona i córka. Ale jeszcze najpierw, jeszcze zanim IGNACY RYSZARD DANKA wciągnął ich wszystkich w tę swoją robotę nauczył się sam owego dziwnie brzmiącego języka, którym nikt przed nim nie mówił od ponad pięciu i pół tysiąca lat!

### NIE JESTEM ODKRYWCĄ

— Nie jestem żadnym odkrywcą i nawet cieszę się, że nie muszę nim być, bo to ciężko przyznać się: jestem pierwszy.

Pierwszy — więc możesz pan wariat, dziwak, pomyślniec? Każdy człowiek będzie w takiej sytuacji jak ja, energia znalazłby prekursora. W moim przypadku rzecz jest na tyle ugruntowana, że nie było specjalnie co odkrywać. Bo przecież ja ten język tylko lepiej od innych opanowałem i zaczęłem używać na co dzień. Ale jeżeli mówi nim teraz ze trzydzieści osób, to wobec wszechświata jest tak, jakby nikt nie mówił. A przecież język jest własnością społeczną i tylko używany przez ludzi może żyć.

— Widzi pan, ja wierzę w nieśmiertelność rzeczy, które umierają. Wstrząsam dla mnie było zburzenie Warszawy. Nie ma miasta i nie będzie. Pamiętam, zaraz po wyzwoleniu ojciec pojechał tam i zrobił dużo zdjęć. A potem, za jakieś dziesięć lat jechał sam do Warszawy i widzę: nie było miasta — jest miasto. Myślę, że to może zaważyło: śmierć Warszawy — niemożliwe, są rzeczy, które nie mogą umrzeć, które muszą się odrodzić. I ja powiedziałem sobie tak samo: to jest tak piękne, że ja ten język muszę odtworzyć, ożywić!

### TRUDNE DZIECIŃSTWO NA ŁÓDZKICH PERYFERIACH

Miałemu Ryskowi nie wiodło się w szkołach. Już w podstawówce dziwny był Jakiś taki niezłowny. Próbowali mu to wybić z głowy (i nie tylko z głowy) koleżdy, ale skutek był wprost odwrotny. Dali spokój. Na odmiennie nie ma rady.

Nie znosił rygoru, przymusu, obowiązków, więc zamiast do szkoły chodził do zgięskiego lasu albo w pola, wśród starych od trzystu lat siedziała na gospodarce rodzina Dziedziczków. Teraz na miejscu domu, w którym urodził się jego matka, Dziedziczkówna stoi ogromne gmazysko Zakładów Tekstylnych Konfekcyjnych Teofilów. Po drugiej stronie ulicy ciągną się wieloletnie osiedla mieszkaniowe. Na jednym z nich mieszka dziś Ignacy Ryszard Danko. W dwóch pokojach z kuchnią Normalnie

W aleksandrowskim liceum ogólnokształcącym wagarował tak dużo, że już po pół roku chciano go ze szkoły wyrzucić. Zrezygnował sam. Z nudnych lekcji matematyki i chemii wrócił do ulubionego Curwooda.

4

6

## Pora na konkretne efekty

W ubiegłym tygodniu odbyło się czwarte już, plenarne posiedzenie Tymczasowej Rady Wojewódzkiej PRON w Łodzi. Jego tematem było omówienie zadań programowych, wynikających z dorobku I Wojewódzkiego Zjazdu, w świetle uchwały I Kongresu PRON, oraz przygotowanie założeń programowych na II Wojewódzki Zjazd, który odbędzie się we wrześniu br. W obradach uczestniczył sekretarz generalny Rady Krajowej PRON prof. MARIAN ORZECHOWSKI.

Przed I Kongresem PRON w całym kraju, a więc i w województwie łódzkim nastąpiło znaczne ożywienie we wszystkich ogniskach ruchu, powstawały nowe komórki, wzrosło również zainteresowanie społeczne działalnością PRON. Obecnie nastąpił okres trudniejszy dla wszystkich jego członków i działaczy, okres, w którym nie wystarczy już najpiękniejsze nawet deklaracje, lecz konieczne są konkretne efekty działań. Co należy zrobić? — na to pytanie odpowiedzieć stosunkowo łatwo. Znacznie trudniej jednak sformułować odpowiedź na pytanie: jak?

Obecnie, przed zbliżającym się II Wojewódzkim Zjazdem PRON, członkowie każdego z ogniw tego ruchu powinni zastanowić się nad dwiema sprawami: jakie konkretne działania mogą podjąć i zrealizować własnymi siłami oraz jak powinny wyglądać mechanizmy formułowania propozycji wszelkich poczynań, aby trafiły one i mogły być akceptowane przez najszersze kręgi społeczne.

PRON jest strukturą dialogu, jedną z płaszczyzn, pozwalających na stałe doskonalenie modelu demokracji socjalistycznej. Problem jednak w tym, czego ten dialog dotyczy. Jak dotąd — w dużej mierze koncentrował się on wokół samego PRON — organizacyjnych, wewnętrznych itp. problemów ruchu. Teraz już pora

zamknąć ten etap. Warto natomiast zastanowić się nad ideą powołania dyskusyjnych klubów PRON, klubów otwartych, do których wstęp mieliby wszyscy bez względu na charakter pracy, zainteresowania czy przynależność organizacyjną i w których mówiliby się o wszystkich, nurtujących całe społeczeństwo lub poszczególne jego grupy, sprawach.

W kręgu zainteresowań ruchu powinny nadal pozostać również sprawy, którymi zajmował się dotychczas: działania na rzecz wywołania wartości moralnych całego narodu, tworzenie warunków, w których mogłyby się one uzewnętrznić w pełni, zamykanie drogi wszelkim przejawom patologii społecznej, uczenie szacunku dla pracy. Będą kontynuowane — także w okresie wakacyjnym — spotkania działaczy PRON z młodzieżą szkolną, stanowiące specyfikę naszego województwa. Praca wychowawcza, nie tylko z młodzieżą, lecz i dorosłymi, musi stanowić nierozdzielny element wszystkich pozostałych kierunków działania ruchu. W Łodzi ponadto istnieje odpowiednio zaplecze, umożliwiająca powołanie placówek takiego kształcenia nie tylko na potrzeby własnego, lecz także sąsiednich województw. Zająć się również należy problemami opieki społecznej, ochrony zdrowia i naturalnego środowiska człowieka, udoskonalenie działalności interwencyjnej.

Program działań zostanie skonkretyzowany na II Zjeździe. Aby jego realizacja była w następnych miesiącach dobra — celem tym powinna zostać podporządkowana struktura PRON. Jaka ma ona być? — nad tym również trzeba zastanowić się w okresie przedzjazdowym.

Następna istotna sprawa, jaka powinna być załatwiona w tym czasie, to weryfikacja członków PRON. Są bowiem wśród nich osoby, które z różnych przyczyn nie są w stanie wypełniać w sposób właściwy swoich obowiązków, a również i takie, których aktywność jest nieomal żadna. Dlatego też wszystkie organizacje powinny zastanowić się i ustosunkować do swoich przedstawicieli PRON, odwołując tych, którzy są jedynie figurantami.

Na spotkaniu omówione zostały również niezbędne działania organizacyjne, jakie należy przedsięwziąć przed wrześniowym zjazdem, a także zasady przygotowania listy wyborczej kandydatów do przyszłych władz. Jednym z założeń jest tu zwiększenie w przyszłej radzie udziału młodzieży i kobiet.

T. J.

## Przeгляд prasy

### DWAJ GENERALOWIE

od działalności których w dużej mierze zależały losy Polski, generał Władysław Sikorski i generał Stefan Rowecki niemal w tym samym czasie zniknęli z areny politycznej i z życia. Generał Władysław Sikorski zginął w Gibraltarze 4 lipca 1943 roku, a generał Stefan Rowecki — „Grot” — został aresztowany przez gestapo w okupowanej Warszawie 30 czerwca 1943 roku. A więc 40 lat temu, z tego to powodu, ale nie tylko — notuje się duże zainteresowanie zarówno postaciami obu generalów, jak i ich tragicznymi losami. Nie wszystko bowiem, co wiąże się ze śmiercią generała Władysława Sikorskiego i nie wszystko, co wiąże się z aresztowaniem generała Stefana Roweckiego jest do końca jasne.

### PRZEBIEG ARRESTOWANIA „GROTA”

został dokładnie odtworzony przez wywiad AK, ale mimo różnych starań nie wszystkie jest do końca jasne. W „ZYCIU WARSZAWY” z 30 czerwca 1983 roku Magdalena Godlewska opublikowała rozmowę z Elżbietą Prądzińską-Zboińską — „Eią”, która w tym czasie, kiedy aresztowano „Grot”, była jego łączniczką. Opowiada ona, że „Grot” nie zniósł ochrony osobistej, że była ostatnią osobą z jego otoczenia, która widziała „Grot”.

„Zatelefonował do mnie rano — opowiada — wyznaczając mi spotkanie o godz. 8. Przyjechał w kilka minut później tramwajem z Powiśla, gdzie nocował. Pamiętam, że przez rękę miał przewieszony jasny prochowiec... Ruch uliczny był normalny, żadne z nas nie zauważyło niczego podejrzanego...”

„Poszliśmy niepiesznie Grojceką w kierunku placu Narutowicza. Generał ile się ostatnio czuł, narzekał na przemęczenie, bardzo więc go namawiałam na projektowany wyjazd z Warszawy. Rozstaliśmy się na placu Narutowicza. Jeszcze na pozegnanie pomachał ręką. Wprost sąd, poszedł na Spiską...”

To właśnie na Spiskiej został aresztowany gen. Stefan Rowecki — „Grot”. Powszechnie uważa się, że spotkał go Eugeniusz Świerczewski, szwagier Ludwika Kalksteina, ożeniony z jego siostrą Niną, aktorką. Eugeniusz Świerczewski był przed wojną krytykiem teatralnym. W czasie okupacji obaj z Ludwikiem Kalksteinem zostali agentami gestapo. O tym, że Eugeniusz Świerczewski wydał „Grot” zeznał w 1954 roku Ludwik Kalkstein. Miał go spotkać na Solcu, iść za nim na Spiską i zobaczyć go gdzie wszedł doniesie o tym gestapo. Hitlerowcy obstawili całą ulicę

i przeprowadzili rewizję w kilku domach. W jednym z nich aresztowali gen. Stefana Roweckiego.

„Początkowo — mówi Elżbieta Prądzińska-Zboińska — rozważano plan odbicia „Grot”. Niestety, wywieziono go na Nymchliast do Niemiec, a później osadzono w Sachsenhausen. Zginął rozstrzelany, prawdopodobnie 6 sierpnia 1944 roku.”

Ciągle nadal jednak nie wiadomo.

### KTO NAPRAWDĘ WYDAŁ NIEMCOM GENERALA

Zastanawia się nad tym też Andrzej Gass w „PRZEGLĄDZIE TYGODNIOWYM” (nr 27 z 3 lipca 1983 r.). Analizując dokumenty, doszedł on do wniosku, że jest w nich pewna luka, dotycząca pobytu „Grot” w nocy z 29 na 30 czerwca 1943 roku. Generał „Grot” miał konspiracyjny lokal do pracy dziennej, nocę spędzał gdzie indziej. W sprawozdaniu z aresztowania „Grot” stwierdza się, że jego adiutant Ryszard Jamont-Krzywicki „nie wiedział ani się domyślał”, gdzie „Grot” spędził tę noc. Powinno to jednak ustalić officer dochodzeniowy „Vigil” — Stanisław Leszczyński i ustalić. Według niego gen. „Grot” 29 czerwca 1943 roku „wysiadł z tramwaju na przystanku w rejonie „PWI”, co wskazuje, że tam spędził tę noc. Kryptonim „PWI” daje się łatwo rozszyfrować jako lokal na Powiślu. Andrzej Gass ustalił, że jest to dom przy ulicy Topiel 19 oraz, że związana jest z tym „p. Halina”. Udało się ją nawet odnaleźć i przeprowadzić rozmowę. Plk Stefan Rowecki poznał panią Halinę w lipcu 1939 roku. Zamieszkała z nią w okupowanej Warszawie. Od niej to właśnie wyszedł 30 czerwca 1943 roku. Ale to nie wyjaśnia nadal, kto wydał generała „Grot”.

Andrzej Gass pokazał pani Halinie fotografie Eugeniusza Świerczewskiego i Ludwika Kalksteina. Te pierwsze zdruzgotały do decydowania — nie jej nie przypominała. „Dłużej zastanawiała się nad zdjęciem Ludwika Kalksteina”. Minęło 40 lat. Czas zaczął wspomnienia. Ale coś tam zostaje.

„Był rok 1943. wiosna — wspomina pani Halina. — Czekaliśmy ze Stefanem na moście na tramwaj. Na przystanku, wśród czekających, stał facet, wysoki, żurnalowo ubrany: kapelusz, elegancki garnitur, wszystko jak z igły. Tak przyglądał się Stefanowi, że aż się zaniepokoił. Nadjechał tramwaj, co się z tym typem stało, już dzisiaj nie pamiętam, ale zapamiętałam jego wygląd i to upatrywanie się. Ale czy to był ten człowiek? Nie potrafię odpowiedzieć.”

Po wojnie oficerowie AK ułożyli kwestionariusz pytań dla pracownika gestapo w Berlinie, który zajmował się walką z AK i kierował przesłuchaniami „Grot” — Harro Thomsena. Przesłuchiwał go brytyjski prokurator.

„Streszczając wywody Thomsena — pisze Andrzej Gass — aresztowanie generała „Grot” spowodował człowiek, którego nazwiska Thomsen nie pamiętał. Spotkał on generała na u-

licy. Człowiek ten znał Roweckiego, który pomógł mu w latach 1928—1929. Mężczyzna ów był aresztowany przez gestapowca — Ericha Mertena, ale został wypuszczony na wolność i Merten miał na niego jakiś wpływ.”

Nie wydaje się, aby tym człowiekiem mógł być Eugeniusz Świerczewski. Otóż temu człowiekowi „Grot” miał powiedzieć, że idzie na ulicę Spiska, gdzie ma się odbyć odprawa Komendy Głównej Armii Krajowej. Czy takich informacji mógł „Grot” udzielić Eugeniuszowi Świerczewskiemu? „A może nie wiemy kim naprawdę był Świerczewski podczas okupacji?” — zastanawia się Andrzej Gass. Przecież powiedział komuś, że idzie się na odprawę KG AK, można tylko wówczas, jeśli wie się, że ten ktoś również wie, iż „Grot” to komendant AK.

A zatem można podejrzewać, że

### BYŁ INNY DENUNCIATOR

Do takiego wniosku doszedł również Paweł Lisiewicz, który na łamach „RZECZYWISTOŚCI” (nr 27 z 3 lipca 1983 r.) sugeruje, że gestapo „wcześniejszy już musiało znać miejsce pobytu Grot, czyli że był tutaj ktoś trzeci. A ten trzeci był dla Niemców tak cenny, że musieli mu zapewnić absolutne alibi”. I tym alibi jest właśnie Eugeniusz Świerczewski, któremu zasugerowano „pójście tego dnia na Solc, wiedząc, że powiniem tam spotkać generała, zaś resztę pozostawiono jego inwencji, no i „Gens” — Świerczewski nie zawiadł, a gestapo miało już wtedy wolną rękę do działania”.

Paweł Lisiewicz przypomina, że to na rozkaz Müllera „spalono akta sprawy Grot-Roweckiego”. Chciano więc ukryć coś, co mogło dostać się w niepowołane ręce. Na dodatek do rodziny dotarł list gen. Stefana Roweckiego z obozu, w którym wyjaśnia, że wpadł przez... przypadkowe rozpoznanie. List nadszedł normalną pocztą, jakby Niemcom zależało, aby ta wersja dotarła do Komendy Głównej AK, aby zaprzestano poszukiwań właściwego zdrajcy. I jeszcze to, że po wojnie dwóch ludzi, związanych z wywiadem polskim w Wiedniu, mjr Karol Trojanowski i mjr Stanisław Włodarkiewicz próbowali przekonywać, iż są w posiadaniu pamiętników Stefana Roweckiego. Kiedy zainteresowała się nimi rodzina Roweckich, zniknęli. Obaj w jakiś sposób powiązani byli lub sądzani o powiązania ze służbami specjalnymi Niemiec hitlerowskich.

Paweł Lisiewicz zwraca też uwagę na ludzi, którzy zastąpili obu generalów: gen. Władysława Sikorskiego i gen. Stefana Roweckiego — byli to ludzie nie mający już ani takich zdolności, ani takich charakterów, ani takich osobowości, a więc byli mniej groźni dla Niemców, ale też wygodni bardziej sojusznikom.

W tej samej „Rzeczywistości” Ludwik Malinowski cytuje różne wypowiedzi po tragicznej śmierci gen. Władysława Sikorskiego, sugerując tym samym,

### KATASTROFA W GIBRALTARZE NIE BYŁA PRZYPADKOWA

Oto na przykład wypowiedź gen. Gustawa Paszkiewicza, który w Iraku latem 1943 roku czuwał nad bezpieczeństwem gen. Sikorskiego:

„Gen. Sikorski ma być zlikwidowany przez siepaczy Andersa. Śmierć gen. Sikorskiego nie była przypadkiem, śmierć gen. Sikorskiego była dokładnie przygotowana i przyszłość niedaleka wykaże kto i w jakim stopniu brał w tym udział, ale w każdym razie sanacja brała udział największy.”

Minęło już 40 lat, a my jakos nadal nie wiemy, kto i dlaczego? Czy też to był tylko przypadek?

Również Kazimierz Popiel — jeden z ministrów rządu polskiego na emigracji w Londynie — uważa, że „reż, które przy tym były czynne i które prawdopodobnie wykonały najważniejszą część zadania: były polskie”.

Zygmunt Borkowski — pułkownik, który był szefem gabinetu wojskowego Naczelnego Wodza w Londynie — opisuje w „ZYCIU LITERACKIM” (nr 27 z 3 lipca 1983 r.)

### POGRZEB GEN. SIKORSKIEGO

„Katedra była nabita. Przedstawiciel króla... zajął miejsce po lewej stronie nawy, przed katedrą Churchilla trochę cofnięty z prawej, a przy nim generałowa. Obawiałem się trochę jej reakcji i chciałem być gdzie przy niej blisko, aby w razie potrzeby szybko jej pomóc. Usiadłem więc na przystawionym krześle z boku, ukryty za kolumną, skąd magiem widziałem wszystko, sam będąc niewidoczny. W pewnej chwili ziuważyłem, że Churchill płacze. Generalowa przez cały czas była godna i spokojna.”

Plk Zygmunt Borkowski opisuje też tajemnicze zdarzenie związane ze śmiercią Zofii Sikorskiej, córki generała. Kiedyś gen. Klimecki i autor wspomnienia podarowali Zofii Sikorskiej bransoletkę z kości słoniowej. Aby te bransoletki móc wsunąć na rękę, należało ją wymooczyć w gorącej wodzie, „a raz założona już się nie dała zdjąć”. I właśnie te raz założoną bransoletkę „w jakiś czas po gibraltarskiej katastrofie amb. Tadeusz Romer”, który wrócił z Kairu, wręczył J. Borkowskiemu.

„Twierdził — pisze Z. Borkowski — że po wyjeździe p. Zosi z Kairu znalazł ją w hotelu gdzie mieszkała, w jej pokoju, pod dywanem. Widać jej zrobił na mnie niesamowite wrażenie. Nie mogłem pojąć jak mogła ją zgubić, jak w ogóle zdjąć z ręki. Tajemnica bransoletki pozostała na zawsze niewyjaśniona”.

Tu należy dodać, że zwłok Zofii Sikorskiej w ogóle nie znaleziono. Natomiast czapkę gen. Sikorskiego wylowiono u brzegów Afryki.

UCJAN BOGUSZ

### Prezes dementuje

Prezes „Cepelli” Włodzimierz Rybczyński — jak donosiła w „Sztandarze Młodych” obecna na walnym zgromadzeniu spółdzielni „Laura” w Tarnowie Beata Grafkowska — zdementowała pogłoski, że jest przeciw mgr inż. Ewie Bednarczyk jako prezesowi zarządu spółdzielni „Laura”. Powiedział on: — „Uważam, że wybór był legalny i nie stoi na przeszkodzie, żeby tę funkcję pełniła”. Oczywiście Ewa Bednarczyk. Ta wypowiedź prezesa „Cepelli” powinna znieść wreszcie ze szpał gazet „sprawę Bednarczyków”. Niech lepiej spokojnie i z pożytkiem pracują!

### Prezes informuje

Inny prezes, tym razem Radiokomitetu — Mirosław Wojciechowski poinformował za pośrednictwem PAP oraz TVP o mających nastąpić od 1 lipca 1983 roku zmianach w programie telewizji i radia. Z telewizji nie było kłopotu. Od 1 lipca mały tylko jeden program. Gorzej było z radiem. Ani z informacją prezesa, ani z innych nie wynikało, kto, gdzie i czego ma szukać. Było sporo bałaganu. Później się wszystko wyjaśniło. Powoli ludzie uczą się słuchać od nowa radia, pomagając sobie w tym informacjami zawartymi w prasie. Ale czy nie można było od razu wszystkiego dokładnie wyjaśnić? Powiedzieć ludziom, czego i na jakich falach, w jakich porach mają szukać. Przy kolejnych zmianach radzimy pamiętać o rzeczowym poinformowaniu radiosłuchaczy!

### Zemsta

Bułgarski dziennik „Otoczestwen Front” doniósł o ciekawym wypadku. Technik telewizyjny zwichnął nogę i udał się do przychodni lekarskiej w dzielnicowym szpitalu w Botewgradzie. Lekarz — dr K. Naczew odmówił mu udzielenia pomocy, gdyż zakład, w którym pracuje technik nie zreperował lekarzowi telewizora. Gazeta publikuje wypowiedzi na ten temat. Nauczycielka Cweta Stanojeva uważa, że dr K. Naczew zrobił dobrze, a na poparcie swego stanowiska przytacza swoje kłopoty z jakością wyrobów i usług. Natomiast inż. Wasil Todorow uważa, że dr K. Naczew postąpił wbrew zasadom obowiązującym lekarzy, a ponadto uważa, że ludzie zaczęli zasłaniać się kolektywem zamiast ośobiście ponosić odpowiedzialność za złą robotę. Dyskusja trwa.

### Bariera organizacji

Gazety ostatnio znów się skarżą na kłopoty ze sprzedażą pustych butelek. Nie wszystkie sklepy chcą je przyjmować, choć mają taki obowiązek. W sklepach rosną zapasy butelek, a zakłady przemysłu spożywczego nie odbierają ich na czas, klienci odchodzą więc od lad sklepowych z koszami pełnymi butelek. Przyczyną tego stanu rzeczy jest wadliwa organizacja pracy transportu i licho wie czego jeszcze.

Podobnie ma się rzecz ze skupem kapsli po napojach mlecznych. Niektóre sklepy prowadzą skup kapsli, ale nie zawsze ma kto je od nich odbierać. Dlatego na przykład w Koninie zaprzestano skupu kapsli. Inni mogą pójść w ich ślady. „Rzeczpospolita” zapytała dyrektora Zakładu Przemysłu Złomu Metali Niezależnych w Oświęcimiu — mgr inż. Ryszarda Balaję, czy mu taki złom potrzebny. Okazało się, że tak — „W ciągu 5 miesięcy b. — powiedział dyrektor — otrzymano 20 ton kapsli”. Uzyskano z nich 12 ton aluminium, a jedna tona aluminium kosztuje 81 tysięcy złotych. W Oświęcimiu czekają na kapsle. W rozlewniach na butelki. Ale handel nie potrafi pokonać bariery dobrej organizacji. Podobnie transport, podobnie rozlewnie. Czy nigdy się nam to nie uda? A może wystarczyłoby tylko solidnie wziąć się do roboty?

### Wszyscy na czarno

Dyrektor Prasowych Zakładów Graficznych RSW „Prasa-Książka-Ruch” w Koszalinie — Andrzej Karp za pośrednictwem pisma RSW „Nasze Problemy” zwrócił się z propozycją, aby wszystkie dzienniki wychodziły na czarno. Propozycję swoją uzasadnia tym, że wiele dzienników na świecie tradycyjnie wychodzi w czerni i to ze względów oszczędnościowych. Farby drogocenne kosztują, zarabają na tym wprawdzie drukarnie, ale lepiej nawet płacić drukarni, a nie wydawać dewiz na zakup farb.

Dyrektor Andrzej Karp występuje z pozycji racjonalizmu i ekonomii, ale przeciw tradycji i to wskazuje, że jego propozycja przejdzie bez echa.

### Tajna plaża

Reporter „Expressu Ilustrowanego” W. Uchman doniósł swym czytelnikom, iż łódzcy natyryści mają swą plażę gdzieś nad Grablami. Plaży strzeże służba własna. Obecny — nie należącym do PTN — wstęp wzbroniony. Red. W. Uchman był jedynym wyjątkiem, którego dopuszczono na tajną plażę. Czy red. W. Uchman opalał się nago, czy jako wyjątek mógł to robić w kąpielówkach, tego już czytelnicy „EI” się nie dowiedzieli.

### A. B. SEKATOR

## W najbliższych numerach:

- \* PRZYPOMNIENIE IX ZJAZDU PZPR
- \* ROZMOWA Z PROF. ANDRZEJEM PIEKARĄ O SAMORZĄDZIE TERYTORIALNYM
- \* JAN III SOBIESKI POD WIEDNIEM
- \* LISTY W SPRAWIE AGNIESZKI
- \* KORESPONDENCJA Z FESTIWALI W OPOLU, KOŁOBRZEGU I KUDOWIE

**T**o, co w rewolucyjnym, długim procesie przeobrażania starej rzeczywistości w nową jakoś — w socjalizm jest bodaj najtrudniejsze, to wytrwałość, konsekwencja, upór. Postrewolucyjne przeobrażenia gospodarce czy świadomościowe nieuchronnie następują więcej trudności niż sama walka o władzę. Odbijają się w tempie wolniejszym, bardziej stopniowo. Wynika to z samej istoty budownictwa socjalistycznego.

Rewolucja, rozumiana jako akt zdobycia władzy była początkiem, rzeczą najważniejszą, ale nie ostateczną. Walka o władzę nie jest celem samym w sobie, ale warunkiem możliwości przebudowy ustrojowej i spełniania zadań temu pochodnych. Celem jest człowiek, jego wyzwolenie, czyli ustawiczne tworzenie warunków sprzyjających pełnej realizacji jego wszechstronnej, społecznej i indywidualnej osobowości. Po przejściu władzy przez nową klasę pozostałe nielatte zadanie jej obrony, sprawowania, realizacji zadań kolejnych etapów rewolucji. O złożoności tego okresu dyktatury proletariatu W. I. Lenin w artykule pt. „Nowe czasy, stare błędy w nowej postaci” („Prawda”, sierpień 1921 r.), pisał m.in.:

„Toteż z jak największą, z potrójną ostrożnością postaramy się określić nasze zadania na tym nowym, wyższym etapie walki. Niech to będą zadania raczej skromne; poczynymy więcej ustępstw, oczywiście w granicach tego, co proletariatu może ustąpić pozostając klasą panującą; (...) możliwie więcej swobody w rozwoju, umacnianiu, odbudowie gospodarki chłopskiej; przedsiębiorstwa, które nie są nam absolutnie niezbędne, oddajmy dzierżawcom, nie wylaczając prywatnych kapitalistów i zagranicznych koncesjonariuszy”.

Nakreślając w taki sposób zadania dla nowego, na krótki dystans mało efektywnego, ale niezbędnego w drodze do pełnego socjalizmu etapu, narażając się i odpięając krytykę elementów burżuazji, wódz proletariackiej rewolucji konkludował: „Dla kogo praca ta jest „nudna”, „nieciekawa”, „niezrozumiała”, kto kręci nosem lub ulega panice, albo też odurza się deklaracjami na temat braku „dawnego zapachu”, „dawnego entuzjazmu” itp. — tego lepiej „zwolnić z pracy” i oddać do archiwum, aby nie przynosił szkody, człowiek taki bowiem nie chce lub nie umie zastanowić się nad swoistością obecnego stadium, obecnego etapu walki”.

## NOWE CZASY, STARE BŁĘDY...

Zapoczątkowane po XX Zjeździe KPZR, a kontynuowane w latach następnych badania nad problematyką etapów budownictwa socjalistycznego w naszym kraju, nie udało się — z przyczyn rozmaitych — zdyskontować poważniejszym dorobkiem. Z całą ostrością braki w tym obszarze naukowego socjalizmu ujawniły się w drugiej połowie lat sześćdziesiątych. Wtedy to, u schyłku okresu gomułkowskiego poszukiwano globalnego rozwiązania przyczyn załamania się tempa postępu społecznego i dróg dalszego, efektywnego rozwoju socjalizmu. Modelowego rozstrzygnięcia w sferze nauki nie znaleziono. Zdecydowano się wówczas na „pragmatyczną kosmetykę”, rozstrzygnięcia doraźne, połowiczne i nieskuteczne. Z przyczyn doktrynalnych (braku pełnego, realnego uspołecznienia wszystkich środków produkcji, szczególnie na wsi), zarzucono — nakreślony jeszcze w 1960 roku — cel budowy społeczeństwa rozwiniętego socjalizmu.

Ucieczką w uparty pragmatyzm i dogmat nie rozwiązano sprzeczności, nie rozładowano napięć społecznych, nie stworzono warunków korzystnych dla zaistnienia w praktyce nowej jakości na tym etapie socjalistycznego rozwoju.

Nowa ekipa kierownicza, powołana w wyniku grudniowego przełomu, usiłowała znaleźć pospiesznie rozwiązanie dla problemów, które ostro, dramatycznie dały o sobie znać w 1970 roku. Usiłując określić perspektywy dla Polski i socjalizmu w naszym kraju, sięgnięto po koncepcję zarzuconą przez W. I. Gomułkę. Ale teoria etapu rozwiniętego socjalizmu była jeszcze nie dopracowana, w wielu momentach „baciągana”, nie dająca pełnych, jednoznacznych odpowiedzi na występujące już wówczas problemy. Mimo to część teoretyków odpowiadając na zapotrzebowanie władzy postanowiła podierać pseudonaukowymi wywodami gierkowską doktrynę, a raczej hasło tzw. drugiej Polski.

Nie jest to niestety jedyny przykład „radosnej” twórczości pseudomarksistów, a zarazem egzemplifikacja leninowskiej tezy o nowych czasach i starych błędach. Jest to zarazem dowód na to, ile może społeczeństwo kosztować nieskromność, nieostrożność i brak realizmu w formułowaniu wizji przyszłości. Miał „wyższej jakości życia”, obiecanej na lata osiemdziesiąte, mamy skomplikowane realia trudu wydobycia się z dna kryzysu.

Problem jednak „nowych czasów i starych błędów” osadza się znacznie głębiej niż w wypraczeniach minionej dekady. Jego prądźródła tkwią głęboko w początkach budownictwa socjalistycznego, w wielorakich pokładach złożonego zjawiska zwanego umownie „stalinizmem, w swoistej gigantomanii i wolutaryzmie tamtego okresu.

Stalinizm nie był ani cechą, ani odmianą dyktatury proletariatu, ale jej wypaczeniem, pominięciem celów i sposobów, zatraceniem głęboko humanistycznych cech teorii socjalizmu. J. Stalin, wódz światowego ruchu komunistycznego tamtego okresu, uzurpował sobie wyłączne prawo, monopol interpretacji i kontynuacji myśli marksistowsko-leninowskiej. Na skutek tego prawie zupełnie zaniechano wówczas teoretyczno-krytycznych badań nad etapami rozwoju socjalizmu, nad postrewolucyjnym społeczeństwem. Brak teoretycznej refleksji nadrabiano hasłami lub wybranymi cytatami z myśli Stalina. Zaś rzeczową, z naukowych pozycji prowadzoną polemikę z oponentami zastępowało „etykietowanie”, albo jeszcze gorzej — represje i owanie.

W ten sposób urodził się kult zapewne wybitnej, ale wcale — jak się potem okazało — nie nieomyślnie jednostki. Tak odrzodziły się stare błędy w nowej postaci...

Już te przykłady świadczą, o potrzebie (a z drugiej strony o odpowiedzialności) kontynuacji badań nad kolejnymi fazami ustroju socjalistycznego. W postulatcie mieści się również konieczność zniwelowania niedostatku opracowań analizujących i sumujących (krytycznych, ale sprawiedliwie) przebyte już drogi. Dotąd trudnialiśmy to m. in. zakusy do przekreślenia, jako „pasma błędów i wypaczeń” — całej dziesięcioleci.

Nadszedł czas rzetelnej, pogłębiłonej oceny przebytej drogi, zakresu realizacji, spełnienia celów i zadań minionych okresów blisko 40 lat budownictwa socjalistycznego w Polsce. Istnieje także pilna potrzeba — potwierdziła to m.in. uchwała IX Zjazdu Partii — nakreślenia realnego, ale niezbędnego programu perspektyw budowy socjalizmu w naszym kraju. Inaczej rzecz nazywając — widzę potrzebę jednoznacznego udzielenia odpowiedzi na pytanie: gdzie jesteśmy i dokąd, jakimi drogami będziemy zmierzać, aby dojść do najprostszej, bez zbędnych „zakrętów” i „zawirowań” do etapu społeczeństwa rozwiniętego socjalizmu?

Potrzeba też odpowiedzieć za Leninem na pytanie o to: jak czynić, aby w nowych czasach nie mogły odrzodzić się „stare błędy w nowej postaci”.

## REWOLUCJA

Nie chciałbym być poświadczony o demonizowaniu znaczenia błędów, o swoisty determinizm, bowiem jak mówił W. I. Lenin w przemówieniu wygłoszonym w związku z czwartą rocznicą Rewolucji Październikowej (Dziela, t. 33, s. 39):

„Bo też nie mogło się obejść bez niepowodzeń i błędów w roku tworzenia czegoś nowego, czegoś tak zupełnie nowego w dziejach świata, jak budowa nie spotykanego dotąd typu ustroju państwowego”.

Niemniej istnieje potrzeba ujawniania tych błędów, analizowania przyczyn ich powstania i społecznych skutków.

Wrócmy zatem do początków, do fazy rewolucji, czyli stawiania się nowego typu władzy, nowego społeczeństwa.

Pojęcia „rewolucja” używa się w różnorodnym znaczeniu. W najbardziej powszechnym traktuje się rewolucję jako jednorazowy akt. Tymczasem twórcy marksizmu, a przede wszystkim W. I. Lenin, wielokrotnie stwierdzali:

„Rewolucja socjalistyczna to nie jeden akt, nie jedna bitwa na jednym froncie, lecz cała epoka zastrzonych konfliktów kla-



Zdjęcie z 1956 r.

# Od rewolucji do socjalizmu

KAROL JÓZEF STRYJSKI

sowych, długi szereg bitew na wszystkich frontach, tzn. bitew o wszystkie sprawy ekonomiczne i polityczne”.

Równocześnie Lenin przestrzegał, iż proces ten nie będzie mógł przebiegać jedynie po linii jednostajnie wstępującej, lecz nieuniknienie będzie pełen sprzeczności, gwałtownych skoków, a nawet zahamowań. W takim rozumieniu procesu rewolucyjnego należy również analizować złożone przyczyny naszych „zakrętów”.

Rewolucja, w tym węższym znaczeniu, rozumiana jako niezbędny akt przejścia władzy może przybierać różne postaci. Najbardziej typową, klasyczną była Rewolucja Październikowa w Rosji. Miała ona charakter zbrojny, wieloletniej, uporczywej walki proletariatu o władzę i jej utrzymanie.

Już u Lenina spotykamy jednak tezę, iż droga każdego kraju i narodu do socjalizmu nie będzie jednakowa, że „każdy naród uniesie coś swego do tej czy innej formy demokracji, do tej czy innej formy dyktatury proletariatu”.

W ślad za tym stwierdzeniem w Rezolucji XX Zjazdu KPZR (Moskwa, 24 lutego 1956 r.) ujęto problem następująco: „(...) formy przejścia krajów do socjalizmu będą w przyszłości coraz bardziej różnorodne, przy czym nie jest konieczne, by realizacja form przejścia do socjalizmu we wszystkich warunkach była związana z wojną domową”, czyli — aby każda rewolucja typu socjalistycznego była „narodowym wariantem” rewolucji bolszewickiej.

Potwierdzeniem słuszności tej tezy były rewolucje ludowo-demokratyczne (1944—1948), które zapoczątkowały proces rodzenia się wspólnoty europejskich krajów socjalistycznych. Przebieg i charakter tych rewolucji stanowił jeszcze jeden dowód na słuszność marksowskiego poglądu o wpływie różnorodnych warunków (historycznych, międzynarodowych, ekonomicznych i kulturowych) na każdy proces dziejowy, na każde „tworzenie własnej historii”. Lata 1944—1948 potwierdziły również niezbędną wzajemnego warunkowania się i przenikania w procesie rewolucyjnym tego, co uniwersalne, z tym, co specyficzne — w leninowskim znaczeniu: swoiste, narodowe — na etapie przechodzenia od społeczeństwa kapitalistycznego do socjalistycznego.

Równocześnie trzeba tu zgłosić zastrzeżenie, iż rewolucja ludowo-demokratyczna (przeobrażenia ogólnodemokratyczne i realizacja zadań i celów narodowych) i rewolucja socjalistyczna, stanowiące jednolity proces rewolucyjny, w którym wyrażnie (w warunkach polskich) można wyróżnić dwa etapy: w pierwszym dominowały zadania demokratyczne, a w drugim — socjalistyczne. Przy czym splot jednych i drugich występował wyraźnie od początku.

## PRZESŁANKI REWOLUCJI

Cały korpus teoretycznych twierdzeń, a zarazem szczegółowa analiza przesłanek rewolucji proletariackiej zawiera leninowska teoria o tzw. sytuacji rewolucyjnej. Wśród czynników, które te sytuację tworzą, Lenin wymienia zarówno niezbędne elementy ekonomiczne, jak i polityczne, dalszą możliwością sprawowania władzy przez burżuazję (zgodność stosunków bazy i nadbudowy) oraz szanse przejęcia władzy przez proletariatu. W konkluzji tych rozważań Lenin pisał:

„(...) proces przechodzenia od społeczeństwa kapitalistycznego

do pierwszego chociażby szczebla wiodącego do społeczeństwa komunistycznego będzie się rzeczywiście procesem długotrwałym i skomplikowanym (i to tym bardziej długotrwałym, im mniej rozwinięte jest społeczeństwo...)”.

Ostatnio w sprawach tych w sposób dość znamieny, a uproszczony, ale oddający sens książki pt. „Marksizm na rozdrożu” wypowiedział się prof. Adam Schaff („Zdanie” nr 4/83).

A. Schaff mówi m.in.:

„Przecież jeszcze młody (sic) Marks w I poł. XIX wieku w „Ideologii niemieckiej” twierdził, (...) że muszą być spełnione pewne podstawowe wymogi, aby można było wprowadzić socjalizm w jakimś kraju. Przede wszystkim tak wysoki poziom rozwoju ekonomicznego i przemysłowego, aby można było natychmiast po rewolucji przystąpić do podziału dobrobytu. Po drugie musi się posiadać klasę robotniczą na tak wysokim poziomie rozwoju, żeby mogła ona przejąć kierownictwo całej skomplikowanej, maszynowej w swoje ręce. I po trzecie: rewolucja musi się dokonać jednocześnie w najbardziej cywilizowanych (uprzemysłowionych) krajach (...) jeśli te podstawowe wymogi nie zostaną spełnione, to „die ganze alte Scheisse (całe stare g...) wróci w nowej postaci”.

A. Schaff zapomniał przy tym dodać, że poglądy „dojrzałego” Marksa od „młodego” Marksa w tej samej sprawie się nieco różniły. Ponadto A. Schaff przypomina te poglądy w kontekście dwu kwestii. Po pierwsze, aby wzmocnić racje Alfreda Lampego, który w 1943 roku pisał, że w Polsce może być tylko rząd jednolity narodowej z wyłączeniem jedynie faszystów. Że nie ma mowy o żadnej nacjonalizacji. Że idzie o odbudowę kultury, ekonomiki, ale drogą jednolitej narodowej (...) że w Polsce nie ma mowy na razie o wprowadzeniu socjalizmu”. A jednak to się potem stało!

Druga kwestia — to sprawa sporu wokół wspomnianej pracy prof. Adama Schaffa, w której jeden z rozdziałów zawiera konkluzję: że nie trzeba się z rewolucją spieszyć. A to strasznie drażni — uskarża się profesor — „rewolucjonistów” w krajach III Świata, którzy chcieliby wszystkiego już. Ja im mówię: panowie obowiązkiem rewolucjonisty jest uczyć masy cierpliwości. Oni zareagowali furios...”.

Jest w zacytowanym fragmencie kilka wątków prowokujących do polemiki. Jeśli chodzi o ostatnie słowa, to z tym „obowiązkiem rewolucjonisty” chyba prof. A. Schaff przesadził. Gdyby Lenin mówił tak do bolszewików, pewnie dotąd nie byłoby Rewolucji Październikowej. To prawda, że nie można wystawiać mas na rewolucyjną próbę, kiedy nie są one do niej gotowe, kiedy w danym kraju nie ma sytuacji rewolucyjnej. Ale gdyby uczyć klasę robotniczą czy masy ludowe krajów III Świata jedynie cierpliwości, to nie byłoby rewolucji na Kubie, w Angoli czy Etiopii.

A co do spraw naszych, polskich — myślę, że można ująć by to tak: do starego pytania oportunistów: „czy odważymy się zwyciężyć?”, A. Schaff proponuje zdaje się dodać: odważyliśmy się, no to teraz mamy!

W. I. Lenin w „Nowych Czasach...”, pisał:

„Kto przed rozpoczęciem wielkiej bitwy boi się kłeski, ten może mienić się socjalistą jedynie na urzędowym robotnikom”.

## KLASA DLA SIEBIE

Równocześnie jednak nie chciałbym być źle zrozumianym. Jest rzeczą oczywistą, iż po to, aby mogła dokonać się rewolucja, aby mogło nastąpić przejście władzy przez nową klasę, a ta klasa była predysponowana realizować zasady nowego ustroju, muszą wystąpić określone, sprzyjające ku temu warunki. One to będą zawsze proces rewolucyjny przeobrażeń wielostronnie determinowały.

W „O karykaturze marksizmu i imperialistycznym ekonomizmie”, W. I. Lenin pisał:

„Przewrót społeczny nie może być zjednoczonym czynem proletariatu wszystkich krajów z tej prostej przyczyny, że większość krajów (...) znajduje się dotychczas nawet nie w kapitalistycznym albo dopiero na początku kapitalistycznym stadium rozwoju (...). Socjalizm urzeczywistni zjednoczonym wysiłkiem proletariatu nie wszystkich, lecz mniejszości krajów, które osiągnęły szczebel rozwoju produkującego kapitalizmu”.

W tym miejscu naszych rozważań pozornie raczej ma prof. A. Schaff, tym bardziej, iż przyznajmy to, że Lenin generalnie uważał, iż w Rosji przed 1917 rokiem siły wytworzone nie były na poziomie produkującego kapitalizmu. Mimo to — jak pisze P. Marciniak w „Zarysie poglądów Lenina na rewolucję socjalistyczną” — Lenin traktował decyzję zdobycia władzy, podjętą przez partię proletariatu w 1917 roku za całkowicie słuszną i odpowiadającą interesom rosyjskiego oraz światowego ruchu robotniczego. Stanowisko takie wynikało z przekonania, że w Rosji istniał „określony stopień” rozwoju kapitalizmu, gwarantujący możliwość ukształtowania się proletariatu w „klasę w sobie” i „klasę dla siebie”.

Powtórzmy raz jeszcze, że Lenin „sytuacji rewolucyjnej”, czyli ogółu warunków i czynników sprzyjających podjęciu przez proletariatu walki o władzę nie sprowadzał jedynie do jednego czynnika, do elementu determinizmu ekonomicznego. Nie uważał, iż rewolucja może dokonać się jedynie w najbardziej rozwiniętym kraju, ale, że ma ona szanse powodzenia, już po przejściu pewnej, niezbędnej fazy rozwojowej kapitalizmu. W ten sposób przeciwstawiał się prymitywnemu determinizmowi, traktującemu jedynie rewolucję jako bezpośrednie następstwo przemian w sferze ekonomicznej.

„Błędem byłoby — przestrzegał Lenin — sądzić, że klasy rewolucyjne zawsze posiadają dostateczną siłę do dokonania przewrotu, gdy przewrót ten wskutek warunków rozwoju społeczno-ekonomicznego w pełni dojrzał (...). Przewrót może dojść, lecz siły rewolucyjne twórców tego przewrotu mogą okazać się niedostateczne do jego dokonania...”.

Wniosek stąd wynika jednoznaczny: rozstrzygnięcia społeczne rodzące się w toku walki klasowej, rewolucje, mogą być, późniejsze w stosunku do obiektywnych możliwości ich realizacji. A więc pomimo wysokiego potencjału bazy ekonomicznej, poziom świadomości klasowej może przesądzać o tym, że sytuacja w danym społeczeństwie daleka jest od rewolucyjnej.

Ale możliwa jest też — co udowadnia praktyka — sytuacja odwrotna: klasa rewolucyjna weselej staje się klasą panującą niż w pełni dojrzała wszystkie, w tym i ekonomiczne przesłanki do jej panowania. Wówczas, jak to uprzedzał Lenin, proces przechodzenia od rewolucji do socjalizmu będzie siłą rzeczy procesem bardziej długotrwałym i skomplikowanym. W jego toku oprócz realizacji celów uniwersalnych, zaświadczaających o istocie nowego ustroju, muszą być rozstrzygnięte równoległe problemy specyficzne, narodowe, jak i podejmowane zadania niwelujące opóźnienia w rozwoju społeczno-ekonomicznym.

Część naszych bieżących kłopotów, napięć i trudności wynika m.in. z nieprawidłowego rozstrzygnięcia i rozwiązywania w praktyce tego wymogu.

# Stworzyć język — pomysł szalony

Dokończenie  
ze str. 1

Ojciec chciał go przyuczyć do fotografii, jako że jeszcze od przed wojny miał swój własny zakład przy Limanowskiego 41, ale Ryszard „ciążył” był do fachu. Wreszcie któregoś dnia ojciec powiedział: języki to dobra rzecz, żebyś choć tego się uczył! I dał mu wtedy pieniądze na kurs angielskiego i niemieckiego.

Od tego też wszystko się zaczęło. Ale może zaczęło się jeszcze wcześniej — od wspólnych zabaw z Alexem Rosenem, który u jego wujka, Dziędziczka, krowy pasł, a później razem z matką wyjechał do Niemiec i wszelki słuch po nim zaginął. Był kiedyś na pastwisku, mniej więcej tam gdzie teraz jest „Elita” — fabryka transformatorów i wówczas właśnie Alex zwierzył się siedmioletniemu Ryszkowi ze swego marzenia o państwie dzieci. Alex, jeżeli jeszcze gdzieś żyje, pewnie dawno już wyrósł z tych marzeń. Towarzysze jego dziecięcych zabaw swoim marzeniem wierny pozostał do dziś.

## PIERWSZE FASCYNACJE

Potem rozmawiali o językach. — Polski jest ładniejszy od niemieckiego — dowodził czternastoletni — bo na przykład „krowa”, to jakos brzmi, a niemieckie „die Kuh” — do czego... Albo: — Dziwna to sprawa, że mówią się „człowiek”, a nie „ludzie”, i tak samo po niemiecku: „der Mann” i „die Leute”. A kiedy jeszcze Alex powiedział, że w państwie dzieci powinno mówić się też specjalnym dziecięcym językiem, wtedy Ryszard zaczął się głęboko zastanawiać, jak by to było, gdyby na żyto mówić inaczej niż „żyto”, a trawa nie nazywała się „trawa”. Długo nie potrafił sobie tego wyobrazić. Dziś trawę nazywa czasem „połną”, żyto zaś „ruglis” i nie widzi w tym nic niezwykłego.

Leć kto wie, czy tak naprawdę wszystko to nie zaczęło się od pierwszego kontaktu z esperanto, które od razu nie przypadło mu do gustu, i od pewnego „odkrycia” w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki. Wracal właśnie Piotrkowską z kursów i — jak zwykle przeglądając w KMPiK-u książki — natknął się na podręcznik, w którym zestawiono współczesne wyrazy angielskie ze staroangielskimi i to samo znaczący wyrazami w innych językach. Więc angielski, polski i na przykład niemiecki są ze sobą spokrewnione? To było prawdziwe zaskoczenie; ale i oświecenie — a gdyby tak stworzyć sztuczny język w oparciu o podobieństwa w językach naturalnych? Coś w rodzaju esperanto, tyle że lepszy!

Być może tak właśnie to się zaczęło: od przypadku, dziecięcych marzeń, szalonego pomysłu... Ryszard Dankę dopiero teraz usiłuje to sobie przypomnieć. Nigdy przedtem nie zastanawiał się nad tym.

Stworzyć język — pomysł istotnie szalony.

Siedemnaścieletni językoznawca-amator, który liczył zaledwie lacy, rosyjskiego, angielskiego i niemieckiego nie wiedział jeszcze, że zamieszkuje między Renem a Dunajem plemiona indoeuropejskie — nosiły one różny dialektami języka indoeuropejskiego. Według niektórych badaczy — jednego z sześciu prajęzyków świata. Nie zdawał sobie w pełni sprawy, że ów prajęzyk był początek nie tylko prawie wszystkim dawnym i współczesnym językom Europy, ale również — wielu językom Azji. Nie słyszał o tym, że próby zrekonstruowania prajęzyka indoeuropejskiego, ku czemu niewiadomnie zmierzal podejmowano już w ubiegłym stuleciu, i że udało się to w dużym stopniu AUGUSTOWI SCHLEICHEROWI, który napisał nawet w nim „Atke o owcy i koniach” — „Avis akvasas ka”. Był to, rzecz jasna, tyłko mniej lub bardziej hipotetyczny prajęzyk, gdyż nie ma żadnych prajęzyków indoeuropejskich zabytków niszonych.

O tym wszystkim Ryszard Dankę miał się dowiedzieć nieco później. I wówczas okazało się, że młodzieńcza intuicja odniosła sukces: wiele sztucznie

spreparowanych przez niego słów miało postać podobną do prajęzyka indoeuropejskiego. Był zatem na dobrej drodze. Droga ta nie wiodła jednak w przyszłość, lecz w przeszłość i to dosyć mroczną. By dalej nia kroczyć należało nie budować od nowa, a — odbudowywać, a nie tyle iść śladem Ludwika Zamenhafa, co raczej — Augusta Schleichera.

Nie była to łatwa droga: gromadzenie podręczników, słowników, setki fiszek, pierwsze próby rekonstrukcji. I ta niepewność, błędzenie niemal po omacku — bez żadnego wiarygodnego przewodnika, jeszcze bez wypracowanych metod. Zdarzało się, iż wyraz zrekonstruowany jednego dnia trzeba było nazajutrz rozszyfrować, zrekonstruować jeszcze i jeszcze raz. A przecież nie wszystko było jasne — nawet w książkach. Na przykład u Meilleta znajdował, że ogień w prasłowiańskim to „ognij”, w staroindyjskim — „agnis”, w litewskim — „agnis”. Rdzeń niewątpliwie ten sam, ale co z samogłoską nagłosową? Niejeden językoznawca miałby z tym kłopot, a co dopiero mówić o kilkunastoletnim zapaleniu, któremu nawet do matury było jeszcze bardzo daleko.

Na kursach angielskiego i niemieckiego był dobry, może nawet lepszy od innych, ale kiedy wyszło na jaw, że on tylko po siedmiu klasach, zrobiło się Ryszardowi przykro. Wsył! Po dwóch latach próżnowania postanowił więc zdawać do liceum pedagogicznego. Na egzaminach z polskiego przeszedł gładko, z matematyki — ośmiat. Od kogoś dowiedział się, że jesienią będą jeszcze przyjęcia do technikum księgarskiego przy Spornej. Jest szansa. Dlaczego by nie spróbować? Kuzyn, Jerzy Dziędziczak pomógł z matematyki i — zdał. Wkrótce przeniesiono go z ósmiej klasy do dziesiątej.

## SUKCESY I WĄTPLIWOŚCI

Najpierw nauczył siostrę, Halinę, która później została nauczycielką i w języku zaczęła rozmawiać ze swoim dzieckiem, przekazując rodziną tradycję drugiemu już pokoleniu. Jerzy Dziędziczak, choć z wykształcenia chemik, również nie zapomniał. Przy każdym spotkaniu z kuzynem dość swobodnie przechodził z polskiego na indoeuropejski, z języka ojczyścigo — na dziadczysty prajęzyk. Koledzy ze Spornej też chyba jeszcze coś pamiętają.

Do nauki prajęzyka najbardziej przykładali się JANUSZ SENDER, który później wdział sutanne, ale inni członkowie poetyckiego koła „Zorza” nie byli wcale gorsi. MIECZYSLAW PIOTROWSKI, STANISŁAW BREITNER, ANDRZEJ KEPA... To właśnie Kepa przez prof. historii HALINĘ EVERT-KAPESOWĄ skontaktował swego koleżę z KAROLEM DEJNA, profesorem Uniwersytetu Łódzkiego, językoznawcą i dialektologiem. Ten oberżał przyniesionym przez młodzieńca prajęzykiem, sonet, wysłuchał tłumaczenia, po czym głośno przyznał się do szoku: jak może ktoś twierdzić, że zna język indoeuropejski, nie znając łaciny, greki, litewskiego...

— A w ogóle wątpię, by ożywianie go miało sens. Jest zbyt trudny. Zwłaszcza że trudne do wymówienia dźwięki... Ale jeżeli chce się pan tym dalej zajmować, powiniem pan najpierw skończyć studia językoznawcze.

Ignacy Ryszard Dankę ukroczył filologię klasyczną na Uniwersytecie Warszawskim u prof. KAZIMIERZA KUMANIECKIEGO. Jako jeden z nielicznych napisał esej prace magisterską na łacinie. Doktoryzował się z religioznawstwa a niedawno uzyskał habilitację za prace pt.: Stanowisko języków anatolijskich w rodzinie indoeuropejskiej i ich wzajemne stosunki”. Z prof. Dejną nigdy już nie rozmawiał na temat prajęzyka, choć przez wiele lat był pracował na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu Łódzkiego. Nie razem, „obok siebie”, każdy w swojej dziedzinie. A co do języków...

Jeżeli w czasach technikum księgarskiego Ryszard Dankę nauczył się cygańskiego. Kiedyś przypadkiem natknął się na książkę Jerzego Ficowskiego „Cwanie na drogach polskich”, która bardzo go zaciekawiła. Po pewnym czasie rodowici Cyga-

nie byli go, czy nie jest abrych pobratymcem. Nie zaprzeczał, co znacznie ułatwiało kontakty. Później napisał nawet dwie rozprawy cygańskie. Lubił ten język, choć oczywiście nie tak, jak indoeuropejski. Lubił też łacinę, którą znał doskonale, chociaż wcześniej. Przez pół roku uczył się jej w liceum w Aleksandrowie. W technikum księgarskim łaciny nie było w programie, ale był łacinnik, HENRYK KONARZEWSKI, który akurat wtedy uczył przysposobienia wojskowego. Widząc zainteresowanie swojego ucznia językami, radził mu studiowanie filologii klasycznej.

— Jak pójdziesz na germanistykę — tłumaczył — to i tak każdy Niemiec będzie od ciebie lepszy. To samo — na anglistykę. A na filologię klasyczną każdy Europejczyk ma równe szanse. Zresztą, zobaczysz, niedługo będzie renesans łaciny.

## Nasz dziadczysty



Foto: Miroslaw Zajdler

— Ale przecież ja nie znam łaciny...

— No to co. Masz tu Cezara, opracowanego dobrze ze niemiecku. Są przecież jeszcze dwa miesiące do egzaminów...

I te dwa miesiące wystarczyły.

— Rzeczywiście, języki nie przychodzi mi trudno, ale jak się ich dużo zna, to jeden drugi wypiera. Kiedyś mówiliem po macedońsku, po rumuńsku. Teraz już nie. Włoskiego nauczyłem się dosyć późno i nadal nim mówię o ile... nie przeszkadza mi hiszpański. Bo jak „wobzę się” w hiszpański, to gorzej z włoskim, jak znów we włoski — utyka mi hiszpański. Z tym włoskim to w ogóle zabawa historia! W Warszawie na studiach pewien Włoch pokazał mi książeczkę, z której uczył włoskich studentów słownictwa indoeuropejskiego. Obejrzałem ją i mówię: — Wiesz co, przecież ja z tego mogę uczyć się włoskiego, przez indoeuropejski. Ale nauczyłem się dopiero na studiach.

W Warszawie uczyłem się też urdu, a potem, po powrocie do Łodzi — hindi. Ze studiów znam też sanskryt. Sanskryt mam z wyjątkiem czytania każdego dnia. Przez rok uczyłem się nowej greki. Znów zabawna historia... Płynatem kiedyś z Grekami na Hel, trochę rozmawialiśmy, a że byliśmy po piwie, zaczęłem mówić zdaje się po starogrecku. A oni jak to usłyszeli, dawaj wolać ze śmiechem: — O, bog Dionizos pojawił się na statku!

Kolega namawiał mnie jeszcze na albański, ale powiedziałem sobie: po czterdziestce nie uczyć się już żadnych nowych języków, mam ich dosyć do konserwowania. Zresztą kto wie, czy nie miałbym ich więcej gdyby nie alfabet. Alfabetu są

niezwykle trudniejsze od samych języków. Na przykład nie zadalem sobie trudu poznać pisma klinowego, więc hetycki i inne języki anatolijskie znam tylko z transkrypcji. Lubię za to alfabet grecki. Te optywowe kształty liter...

Mówi się niekiedy o tak zwanym poliglotyzmie. Ale ja uważam, przynajmniej na podstawie własnych doświadczeń, że to trochę niemożliwe. Opanować język — na to trzeba lat. A ta byskotliwość poliglotów... To chyba tylko dla laików.

## ZAPOMNIANE SENSACJE

Dziwnie? — Dziwnie, ale prawdziwie. Tak przecież mówi człowiek, który lepiej lub gorzej daje sobie jeszcze radę z angielskim, niemieckim, francuskim, rosyjskim, litewskim, ho-

nauczył, to skąd pewność, czego ich nauczyć? — I tak dalej. Zupewnie jak z tą babcią, co to powiedziała kiedyś całkiem poważnie: — Gdyby ludzie naprawdę wyglądowali na Księżycu, to bym ich przecie w nocy widziała przez okno.

W czasie zjazdu Polskiego Towarzystwa Językoznawczego dr Ryszard Dankę odwiedziło dwóch jego niedawnych kolegów i „uczniów” z akademika: KAZIMIERZ FELESZKO i KLEMENS STEPIAK — obaj docieni — którzy przyprowadzili ze sobą jeszcze dwóch językoznawców z Krakowa: doc. LESZKA BEDNARCZUKA i dr. WOJCIECHA SMO CZYŃSKIEGO. Jak łatwo przewidzieć, w pewnym momencie rozmowa musiała zejść na prajęzyk indoeuropejski. I oto stała się rzecz niezwykła: doc. Bednarczuk, który znał prajęzyk jedynie biernie, stosując go w badaniach naukowych, dał się na kilka minut sprowokować. Jego indoeuropejskie zdania padały twardo jak kamienie, żyły nabrzmiały mu na skroniach, ale zebrani nie mieli wątpliwości — był to na pewno ten sam prajęzyk indoeuropejski. Ten sam, chociaż doc. Bednarczuk do grona „uczniów” dr hab. Danki nigdy przecież nie należał.

— Oto skąd pewność i dowód — mógłby powiedzieć Ryszard Dankę, który choć romantyk i marzyciel, nie tracił kontaktu z rzeczywistością:

## LUDWIK ZAMENHOF POPELNIA BŁĘDY

Zakładając Sekcję Indoeuropejską chcieliśmy oprócz popularyzacji samego języka wprowadzić również historię dawnych kultur indoeuropejskich, historię badań indoeuropejskich, popierać badania prowadzone w tej dziedzinie. W Łodzi nikt się tym poważnie dotąd nie zajmował, w innych ośrodkach — też mało kto. A są to mało znane i bardzo ciekawe sprawy. Natomiast z tą myślą, żeby prajęzyk indoeuropejski ożywić i mówić im, na świecie nie wystąpił chyba jeszcze nikt.

Jest oczywiście esperanto... Ale jeżeli ja je krytykuję, to nie dlatego, że jest to język sztuczny, ale — że niezbyt udolnie zrobiony. Zamenhof miał niewątpliwie intuicję, nie uszedł się jednak wielu błędów. Na przykład niektóre formy gramatyczne są od początku do końca wymyślone i nie mają nic wspólnego z prawami rozwoju języków. W słownictwie też popełnił sporo grzechów. Raz bierze za podstawę wyrazy francuskie, raz znów niemieckie czy łacińskie i powstaje z tego prawdziwy galimatias. Tymczasem rekonstrukcje wyrazów prajęzyka indoeuropejskiego robi się z amatora stał się zawodowcem, intuicję i talent poparł solidną wiedzą i, jakby na przekór wszystkim i wszystkim, nadal pozostaje wierny swojej młodzieńczej idei. Człowiek, którego marzeń nie zabity stopnie naukowe, szara codzienność, a nadziei nie odebrały niepewność i smieszność, na jaką nieraz bywał narażony.

Już w czasie warszawskich studiów „odkryła” go prasa w akademiku przy Kieckiego. Jako jeden z pierwszych napisał o nim Kazimierz Brandys w kolejnym swym liście do pani Z. na łamach „Nowej Kultury”. Dla Brandysa, który jest tak towny i nie wymienia żadnych nazwisk, student Dankę z Łodzi to członek prajęzykoznawstwa, wyróżniającej się eksperymentalnymi obyczajami, nadużywaniem alkoholu w postaci wina „Zbojnickie” i zrywającej w stanie wojny z esperantystami. Dla innych — co najmniej jakiś dziwak-barbarzyńca, co śpi pod barania skórą a w nocy, odziany tylko w kałoseny, odpowiewa staroindyjskie hymny Krótko mówiąc, sensacja — palce liżać.

Kiedy w czerwcu 1980 roku przy łódzkiej oddziale Polskiego Towarzystwa Filologicznego powoływano Sekcję Indoeuropejską w gazetkach nie było sensacyjnych doniesień, choć temat do tego wymierzony. Zbliżyciele sekcji biorą bowiem pod uwagę możliwość popularyzacji prajęzyka indoeuropejskiego jako języka międzynarodowego. Zresztą może i lepiej, że nie zrobiono znowu sensacji, że nie zadano przesłannych pytań w stylu domorosłych lingwistów — A kto sprawa?.. że to właśnie prajęzyk indoeuropejski? Bo jeżeli ten Dankę sam wszystkich

chwile kartkuje, wreszcie zaczyna czytać:

Senti alioli-kve gvojoj... (Są także inne światy...)

— Tak, ten język ma swój klimat, swoje ciepło, a przede wszystkim — tradycję. Dla nas nie jest to tylko obcy język, sztuczny i zimny jak esperanto. To przecież język wszystkich indoeuropejczyków, tak samo bliski Polakowi, jak Francuzowi, Amerykaninowi czy niejednemu Hindusowi.

W nauczaniu języków występują głównie trudności psychologiczne, tym większe, że — czy się pod szyldem: lektorat języka obcego. A kiedy powiem, że prajęzyk indoeuropejski nie jest wcale obcy, że jest tylko dawną formą, której kontynuacją jest twój język, to już bardzo dużo znaczy. Ja tym językiem zachwycałem się i pozostałem przy całym jego skomplikowaniu, ale przecież można by opracować, powiedzmy, prostszą wersję do codziennego użytku, i wersję pełną, jeśli można tak powiedzieć — literacką.

Jak postugiwać się dziś językiem sprzed kilku tysięcy lat? Normalnie. Widzi pan, ponieważ jest to język naturalny, można sponowadzeniem tworzyć nowe słowa, których nigdy przedtem w nim nie było — tak samo, jak dzieje się to we współczesnych językach. Na przykład my na samolot mówimy „wetehiom”, co w dosłownym tłumaczeniu znaczy „latadło”. Wiele słów można by utworzyć w oparciu o greckie i łacińskie rdzenie, na których opiera się przecież prawie cała terminologia naukowa i techniczna. Rzecz do uzgodnienia w jakimś szerszym gronie językoznawców, o ile indoeuropejski ma być kiedyś rzeczywiście przyjął.

Kolega JOZEF MACJON, z którym razem pracuję w Katedrze Filologii Klasycznej Uniwersytetu Łódzkiego (nie, nie — studentów nie ucze indoeuropejskiego, choć marzy mi się jego lektorat na jakimś uniwersytecie), otóż kolega Macjon był kiedyś zagorzałym esperantystą, ale poznawszy indoeuropejski „nawrócił się” i teraz razem „ciągniemy ten wódek”. Inni koledzy ośmiem mówią, gdy się nieraz spotkam, ale żeby czynnie zaczęli się włączyć, to raczej nie. Chyba nie bardzo wierzą w powodzenie całego przedsięwzięcia.

Rozmawiałem kiedyś z pewnym profesorem, polonistą. Podobno mu się to, co robimy, ale mówi: — Zrob pan najpierw przynajmniej habilitację. A ja mu na to, że wcześniej jest moja miłość do tego języka niż chęć zdobywania stopni naukowych. I — obojętnie — czy ktoś mi za to chce płacić, czy nie, dalej będę działał na rzecz popularyzacji prajęzyka.

Nie wiem, może to Don Kichot nauczył mnie, żeby robić tak, jak uważa się za stosowne, nie licząc się z tym, jak na to patrzy inni; żeby przyjąć swoją skalę wartości, odnieść wartość najwyższą i im pozostać wiernym. Może...

Dawniej można mnie było traktować jak dyletanta. Teraz ten argument trudno już byłoby wysunąć. Mam nadzieję, że prajęzyk indoeuropejski jest komunikatywny (i to nie tylko wśród Polaków), że jest precyzyjny, logiczny i doskonale nadaje się na język międzynarodowy. A tym którzy powiada, że esperanto było przecież pierwsze, odpowiem: i tak, i nie. Schleicher swoją bajkę napisał i opublikował na kilka lat przed wystąpieniem Zamenhafa. Właśnie tak!

## BOGOWIE GO WYSŁUCHALI

Wykładowca gramatyki i literatury sanskryckiej w Uniwersytecie Warszawskim, niezwykły już HIRANMOY GHOSHAI, który ożenił się z Polką, swymi nadal dwa jednoznaczne imiona: Devadan — po sanskrycku, i Bogdan — po polsku, nadął się do swych bramińskich bogów, żeby tu, gdzie przyszło mu żyć w Polsce, narodził się ruch jednoczący narody indoeuropejskie. Modlił się, widać, szczerze i żarliwie, skoro bogowie go w końcu wysłuchali.

Przynajmniej w pewnym sensie...

## PAWEŁ TOMASZEWSKI

## Jest o czym dumać na paryskim bruku

(Korespondencja własna z Francji)

obiad, na który cie zaprosili, to on przyniósł kurę. — Więc mu mówię, co ty najlepszego zrobiłeś, oni tam kurę jedzą codziennie, bo innego mięsa nie ma. To wiesz co on mi odpowiedział? Maja lepiej niż Francuzi za czasów Henryka IV. Ten obiecywał swoim poddanym drób tylko w niedzielę.

Uczucie rozwiałem te złudzenia, bo w pierwszej chwili nie mogłem sobie przypomnieć, kiedy żonie udało się kupić kurczaka.

Tak czy inaczej oglądano ronie z zainteresowaniem, tym bardziej, iż zjawilem się tu w momencie, gdy środki przekazu przesiągały się w raportach na temat wizyty napieży w Polsce i przewidywały scenariusze ewentualnych wydarzeń. Niektóre z tych wróżb, jak np. te z „Paris Match'u” nr 1775, były tak apokaliptyczne absurdalne, że aż śmieszne: pisano o „prochu dorzuconym do ognia”, o niecierpliwie oczekujących na swoją chwilę — wiadomo gdzie — czołgach, o wznoszącej nad Polską groźbie wojny domowej. Ulice opłone przez tysiące demonstrantów rozpedzanych gazem łzawiącym i pałkami to wizja jeszcze najbardziej optymistyczna.

Tematy polskie bowiem wciąż są obecne na łamach prasy i na ekranach telewizorów. Wzmagała się obecność właśnie pamięćka pielgrzymka. Relacjonowała ją telewizja — wedle ocen Francuzów — dość skromnie w porównaniu z poprzednią polską wizytą Jana Pawła II: bezpośrednie transmisje tylko z przyjazdu i spotkania w Belwederze oraz z poezgania na krakowskim lotnisku a poza tym kilkadziesiąt sekund w migawki w dziennikach i programach informacyjnych. No i mnóstwo komentarzy w gazetach: od całkiem obiektywnych i wyważonych do najwzruszających egzageracji dziennikarzy, którzy czytali wystąpienia i homilie napieży, tak jak im do założeń też odpowiadało. Każde słowo na „S” było okazją do całych akapitów i wcale nie musiało to być słowo „solidarność”.

— Co? Ty czytasz „Le Figaro”? — dziwił się moi tużsi interlokutory.

— A co może powiniennem „L'Humanite”? — odpowiadałem ze swada.

— No nie, ale prawdziwszy jest „Le Monde”.

Tak więc i prawda nie jedno ma imię.

Zresztą pod koniec wizyty papiejskiej ta fala komentarzy zaczęła się cofać:

— Proszę, proszę! Nie ma nas na pierwszej stronie! — dziwił się, ale jakoby z ulgą, jeden z pracowników naszej ambasady, wertując najnowszy numer właśnie „Le Monde’u”.

Prawdziwym zaskoczeniem był to komentarz „Observatore Romano” po spotkaniu Jana Pawła II z Wałęsą. Autor owego komentarza podał się następnie do dymisji, ogłaszając, iż niewłaściwie odczytano jego słowa, ale już było za późno. „Zastępca redaktora naczelnego oficjalnego dziennika watykańskiego zachował się jak rasowy dziennikarz — pisano a nie jak dyplomata, bo powiedział to, o czym był przekonany, a co powinien politycznie przemilczeć”.

Jak w ogóle piszą tu o Polsce? Dużo by na ten temat opowiadać. Przeczytałem właśnie w „Nouvel Observateur” reportaż z Polski, napisany przy okazji pobytu baletu lyońskiego w Warszawie (występował też w Łodzi podczas „Spotkań Baletowych”). Autor tego obrazka — na marginesie można dodać że mieszkał w „Victorii” — z eóry nastawił się na to, aby przedstawić dramatyczny essay o Polsce stanu wojennego (l'état de siège — brami to z francuska).

Przyjawszy tak zastosowaną perspektywę, w identyczny sposób mógłbym napisać o Paryżu. A więc o demonstracji, na którą natknąłem się już pierwszego dnia. O tym, że każdy urząd państwowy tego demokratycznego kraju obfitym jest barierami i policjantami: że któregoś niedzielnego popołudnia widziałem kawałkę ciężarówek wypełnionych uzbrojonymi funkcjonariuszami specjalnych oddziałów policji (CRS), która na murach napieży porównała do SS, a która nie wracała przecież z weekendu: że na najbardziej reprezentacyjnej ulicy Europy, to jest na Les Champs Elysées, co kilkadziesiąt metrów musiałem omijać zebranych, wyniszczo-

nych ludzi z tabliczkami na piersi „jestem głodny” i nie byli to opiewani w piosenkach kłozardzi; że tu we Francji, która od czasów Wielkiej Rewolucji uznaje się za uprzywilejowaną interpretatorkę hasła „liberte, egalite, fraternite”, widziałem wielokrotnie jednoznacznie szowinistyczne napisy na murach; że przy ulicy des Rosiers wciąż pamięta się o antysemickim zamachu — o czym świadczy zawieszony tam plakat; że wciąż rozprawia się o bezwzględny i krwawy potraktowaniu manifestacji przez lotne plutony policji na motocyklach, którymi niemal rozjeżdżano demonstrantów (fotoreportaż przedstawiony w „Paris Match'u” nie pozostawia żadnych złudzeń co do prawdy w tych opowieściach). I są to wszystkie fakty, tyle tylko, że tendencyjnie zestawione.

A nie chce pisać już o inflacji, o bezrobociu (podobno procent bezrobotnych ustabilizował się od jakiegoś czasu, w co zresztą nie wszyscy tam wierzą), o beznadziej młodych, o potęgającej się walce politycznej opozycji z rządzącą większością, o upadającym prestiżu Francji w ramach Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej, w której pełniła dotąd rolę arbitra, ponieważ nie może zabierać tematów Andrejeowi Billkowi Nolabene jestem zobowiązany do złożenia mu serdecznych podziękowań za pomoc w pewnej sprawie. W jakiej — nie napiszę, bo mógłbym — jak sądzę — wprowadzić w zakłopotanie jednego z dwóch komisarzy generalnych polskiej wystawy w Centrum Georges Pompidou, dyrektora łódzkiego muzeum, Ryszarda Stanisławskiego.

A wracając do moich paryskich obserwacji — powtarzam: wszystkie one są prawdziwe, choć jednostronne. Gdybym był francuskim dziennikarzem (nie można zresztą tego uogólniać) piszącym o Polsce na czerni bym poprzestał. Ale przecież nie jechałem do paryża jak do jakiegoś Inferno, gdzie nie wiedzieć co mnie czeka, z nastawieniem na wszystko najgorsze. Jechałem tam natomiast jak jeździ się do miejsc szczegól-

nie lubianych, przepełniony nadzieją na nowe doświadczenia, inspirujące przeżycia. Cokolwiek bowiem by nie sądził jest Paryż wciąż jednym z najważniejszych centrów artystycznych, miastem wspaniałych zabytków i muzeów, wielkich wystaw i festiwali, punktem zbieżnym tego wszystkiego, co w kulturze światowej znaczące, istotne i reprezentatywne.

Jest więc to miasto Mekka turystów z całego świata. Tego roku widzi się ich chyba więcej niż kiedykolwiek, a Amerykanie, pewnie i inni zamożni z sąsiedztwa też, traktują Francję tak, jak kiedyś Francuzi Hiszpanię: najtańszy — na skutek fatalnego aktualnie kursu franka — sposób spędzenia atrakcyjnego urlopu. Język angielski słyszy się więc na ulicach miasta równie często, jak francuski (może przesadzam, ale niewiele).

Nie był to mój pierwszy pobyt w Paryżu, zatem uniknąłem frustracji turysty, który znalazłszy się w tym mieście nie wie od czego zacząć swoją pielgrzymkę: czy od Notre-Dame, czy Luwru, albo od grobowca Napoleona w pałacu Inwalidów. Mogłem sobie darować Montmartre z placem du Tertre i Sacre-Coeur. Nie deliberowałem także przed kasa, gdzie sprzedaje się wejściówki do Sainte Chapelle, ani nie przeliczałem na złotych cenie biletu do windy w Tour d'Effel. Nie szukałem grobowca Abełarda i Heloizy na Pêre Lachaise i nie nadwyręzałem kręgosłupa zacierając głowę w La Defense.

Nader skromnie wyposażony w dewizy przez sponsorów mojego wyjazdu nie rozpychałem się u Tatlego, nie pobiegłem też na Pehli Targ a soldi, które właśnie rozpoczęły swoją letnią inwazję, mijalem z obojętnością, że wymuszona nie muszę dodawać.

Okoliczności, w jakich znalazł się nasz kraj zahamowały zagraniczne wojaże Polaków w bardzo znacznym procencie. Zatem pomnę różne „praktyczne rady”, powiem tylko, że dla dewizowców zasobnych w dolary Paryż, mimo ciągłych podwyżek

cen, stał się miastem niedrogim. Obecny kurs franka powoduje, iż nasze „Pewexy”, „Baltony” i inne sklepy bezcenne przestały być jakkolwiek konkurencją; nie chciałbym przesadzić, ale ceny we Francji są niższe o średnio 20—25 proc. Zresztą — co oczywiste — należy to od firmy, jakości i innych cech handlowych.

Kończąc już ten „polski” wtret, bo — po pierwsze — jest on mimo wszystko surrealistyczny, a — po drugie — moje uwagi miałyby wartość powierzonej obserwacji przechodnia, który od czasu do czasu zerkał na gigantyczne witryny wypełnione wszelkim dobrem od skarpetki po fiata-uno, po trzęcie wreszcie, pojechałem do Paryża z całkiem inną misją.

Czytelników, których zainteresował anons „Odgłosów” o zawartości najbliższych numerów („o wystawie sztuki polskiej z Paryża pisze...” itd.), proszę o cierpliwość: będzie i o wystawie. Gdyby odbywała się ona na dworcu w Koluszach albo na Saharze mógłbym darować sobie owe tytułowe „konteksty”. Ekspozycja ta, mimo iż sami Francuzi nazwali ją — jak pisałem — „manifestation gigantesque”, jest jedna z silek imprez artystyczno-kulturalnych jakie równolegle w końcu czerwca Paryż proponuje milionom swoich mieszkańców i równie astronomicznym liczbom turystów z całego świata.

Informacja o samych wystawach poświęconych sztuce zajmuje w „Le Monde” niemal całą stronę zapisaną petitem. Dla przykładu oto tylko niektóre z nich: wielka wystawa, w stulecie śmierci, przedstawiająca dzieła Edouarda Moneta w Grand Palais (na marginesie: aktualnie jedna z największych atrakcji artystycznych Paryża, przed wejściem ogromna kolejka, którą tylko Polak może sobie wyobrazić); wystawa, która pozwala zrozumieć znaczącą rolę tego artysty, jaka odegrała zarówno w drugiej połowie XIX wieku, jak i w kształtowaniu się sztuki dwudziestowiecznej. Również w Grand Palais: „La peinture napolitaine de Caravage à Giordano”. Dalej — w Centrum Culturel du

Marais — malarstwo Claude Moneta, obrazy z lat 1888—1926, zgromadzone z różnych muzeów francuskich, zagranicznych, a także ze zbiorów prywatnych. Następnie — wystawa pod tytułem „Marta natura i przedmiot — od Delacroix do Pissarro”, na której można oglądać dzieła, oprócz wymienionych w tytule, autorstwa Degas, Renoira, Cézanne'a, Bonnard, Matisse'a i wielu, wielu innych, w Muzeum na Montmartrze, też rocznica (stulecie urodzin), wystawa Utrilla, której towarzyszy malarstwo Suzanne Valadon i André Utera. Już wspomnę tylko o prezentacjach rysunków Canovy, o retrospektywie Ferdynanda Hodlera, kolekcji pasteli XIX i XX wieku, współczesnego malarstwa Meksyku, „fauny i flory egzotycznej w sztuce”, itd., itd. Poprzestaję więc na tym, co widziałem i czego zobaczyłem — zresztą jest to kwestia niedługiego czasu — rozwinięto sieć agencji, wypózyczających po przystępnej cenie i potrzebna aparatura i kasyty.

Chodź mnie kuszą, pomnę opis czerwcowych atrakcji kin paryskich. Pisał o tych filmach, smacznie i ze swada, Zygmunt Kałużyński z festiwalu w Cannes, a właśnie canneńskie tytuły gromadzą przed kinami kolejki. Tymczasem najobficiej jest reklamowany, gdzie tylko się da, film włoski niejakiego Antony Passa, o tytule stosunkowo jednoznacznym: „Les aventures sexuelles de Neron et Popée”. Na zainteresowanie się teatrem nie miałem już czasu; może to i lepiej, bo wówczas mój „Odgłosowy” serial, inspirowany przecież polską wystawą, ukonyczyłbym we wrześniu, kiedy po „Présences polonaises” pozostaną wspomnienia. Powiem więc tylko, że trwa właśnie doroczny Festival du Marais, w którym teatr, balet i muzyka zajmują miejsce uprzywilejowane.

Jakby tego wszystkiego było jeszcze mało, 21 czerwca, gdy uroczystie otwierano naszą wystawę, cała Francja, a Paryż szczególnie, zaproszona została do śpiewu i muzyki na placach, skwerach i ulicach. Już po raz drugi o to z inicjatywą Jacka Langsa ministra kultury, obchodzono tzw. fête de la musique, czyli ogólnonarodową zabawę pod gołym niebem z okazji przelotu wiosny i lata. Grano więc na czym się dało i gdzie się dało: pod Sacre-Coeur i w pasażu między Les Halles a Centre Georges Pompidou, na placu Saint-Pierre i w La Villette. Ministerze przepraszał przed kamerami, że nie mógł uczestniczyć wszędzie tam, gdzie go zapraszano tego dnia. Nie był także na otwarciu „Présences polonaises”, choć powinien. Ale takie to już czasy.

Czy w tak morderczej — musiszy to przyznać — Cytelniku, który dotrwał do tego miejsca — konkurencji „Polska obecność” w Centre Georges Pompidou zostanie zauważona? Czy plakat Romana Cieśliewicza, widoczny na ulicach Paryża tu i ówdzie między reklamą kapielówek a filmem o cielesnych udechach Nerona, ścignie publiczność? Czy dyrektor Ryszard Stanisławski wróci do Łodzi z chwały? O tym za tydzień.



# Reforma w gumiakach

Dokończenie  
ze str. 1

serie, ręcznie dopieszczane, produkacja nadążająca za wymaganiami mody. Ale — brak ludzi. Sporo miejsc przy taśmach pustych, oddział „Idzie” tylko na jedną zmianę, zatrudniając ponad 500 osób (głównie kobiety), zamiast minimum tysiąc. Co dziś robią? Trochę dziecięcych i damskich „wellingtonów”, robocze gumki dla centrali morskiej. Na czarnej tablicy zadanie dla jednego z wieloosobowych zespołów — 1600 par. Są wśród nich również o-  
we „filce”.

Oddział wtrysku. Nowy, pracujący tu maszyny kręcą się średnio dopiero rok. Potężne zachodniemieckie agregaty wtryskowe. Jedna taka maszyna, absorbując na trzy zmiany sześciu ludzi, „tryska” 1800 par butów. Aktualnie idą trzy — czwarta ma gwarancyjny przegląd. Z najbliższej co 36 sekund zjeżdża parka kolorowych, dziecięcych śniegowców. Obok druga miarowo sapiąc wyrzuca z wnętrza szaro-czarne robocze gumki. Rozmiar poważny — więc na parę trzeba czekać aż 48 sekund.

Przedzielony hałą konfekcji działa także drugi, starszy oddział wtrysku. „Na chodzie” siedem agregatów. Schodzą z form „gumofilce”, dwa rodzaje roboczych (czarne i białe-spożywcze), olejoodporne, kwasolugoodporne i trzy rodzaje damskich kaloszy. Przyglądam się z uznaniem starszej „Desmie”, strzelającej właśnie filcowym obuwem. Bez remontu kręci się, bagatela, 14 lat.

Przechodzę błyskawiczny kurs z zakresu obsługi i technologii. Najważniejsze we wtryskarce to dokładne formy. Szczególnie, że na Zatorzu działa i wciąż „rozkreca” się własny zakład „Stomil” produkujący owe formy, bowiem komplet oryginalnych, do jednego tylko agregatu, kosztuje... 450 tysięcy marek RFN.

Pełne zatrudnienie, na trzy zmiany całego oddziału wtrysku — to 14—15 tysięcy par poszukiwanego obuwia. Jeszcze przyglądam się przez chwilę produkcji czarnego barwnika. Bardzo ciężkie warunki: sadza, smoła, niesamowicie gorąco.

Trudno też dłużej wytrzymać na wydziale pras — to jeszcze inna technologia. Buty o wyjątkowo niskim ciśnieniu, czyli na produkowanych też w zakładzie elastycznych „grzejkach”. Pracująca „grzejka” naciągana na kopyto, na to zakładamy bawełnianą podszewkę frotte, obkładamy gotowymi elementami z gumy i — do prasy.

Sporo kobiet, każda obsługująca dwie prasy. Ruchy niemal automatyczne, nie ma czasu żeby zamienić nawet parę słów. Kopyto wyjeżdża z prasy, trzeba obciąć resztkę gumy, zwow podszewka, cholewka, zółwika, obcas — do „piekarnika”. Średnio 170—180 par na zmianę. Dziś — przede wszystkim „wellingtony” damskie i męskie oraz dwa rodzaje butów roboczych.

Wtrysk — to palenisko winyli, czyli spolszczonej polwinyliasty z zakładu w Płonkach. Tu, podobnie jak na konfekcji, wyłacznie królują guma. Z ponad 72 pras znów wiele stoi nieczynnych — brak ludzi...

Jeszcze szwalnia: gdzie w huk overlocków powstają podszewki, bez których nie ohejdzie się żaden kalosz, leżące rozległy oddział odfabrykatorów, gdzie z bel dzianiny tnie się, wykrawa wspomniane podszewki. Tu także, na potrzebnych kalendarach wyciska się z narzucających gumowych walców zgrabne zółwiki (wzorek do wyboru...). A pod ścianą rząd rozgrzaných pras elektrycznych wznawiających co chwile kolona partii gumowych obcasów.

„Rudzynek”, czyli wydział mieszanki albo walnowanie, zastawili mi inżynier Bohdan Wittek na zakończenie wykładki.

Tu dobieramy składniki i kolorę gumowego surowca. Cztery gigantyczne miksery (dwa produkują czarną gumę, dwa kolorową, do wyboru) sięgają mniej więcej piętego piętra przeciętnej kamienicy. Jeszcze wyżej usytuowano silosy i zasobniki na surowiec. Na górze człowiek jest zbędny — według zaprogramowanej receptury sterowana elektronicznie automatyczna odważalnia angielskiej firmy Richardson bezbłędnie dobierze wszystkie składniki. Wymieszana pecynka o wadze 200 kilogramów zjeżdża na dół i tu zaczyna się już ciężka praca ludzi. Sterowanie walcami, które bryle rozniają stopniowo na coraz cieńszą, gumową taśmę, formowanie w jednolite pasy, obsługiwane wielkich chłodziarek.

Wystarczy na dzisiaj. Tym bardziej, że pani Maryla w sekretariacie uśmiecha się z ulgą: — Już poszli, dyrektor czeka... Dyrektor Andrzej Bloch uśmiechnięty (nie pierwsza to kontrola i nie ostatnia, ponoć w tym kraju więcej teraz kontrolujących niż pracujących...), choć widoczna na twarzy całodzienna „nerwówka”.

Chwałę się, że cały proces produkcyjny mam już w małym palcu. Szef mrucząc okrutnie mi niespodziewane „pytanie za sto punktów”:  
— Tak, to w jakim celu po chłodziarkach gumowa taśma wędruje przez wodę z mydłem?  
— Aby się potem nie posklejała, pocięta na platy...  
— Niech, możemy pana przyciągnąć do pracy na wydziale mieszanki.

— Przemyśle to sobie, ale póki co chciałbym dowiedzieć się czegoś bliższego o nowej technologii i nowych maszynach, które — jak się orientowałem w czasie eskapady — staną na wydziale wtrysku...

Dyrektor z inż. Witkiem wymieniają porozumiewawcze spojrzenia. Szef wydziału rozkłada ręce: — Ja nie nie powiedziałem, słowo daję, jeśli nie jestem potrzebny, to się odmeldowuję...

Zostajemy sami. Bloch coś „knuje”. Wreszcie mrucząc: „Raz kozie śmierć” rusza do potężnej szafy w rogu gabinetu. Wyciąga z niej istne cacko. Dziecięcy śniegowiec, w pięknym czerwonym odcieniu, z radosnym słoniem na małej cholewce. Mały bucik ma w środku grubą, futrzaną wkładkę: każdy małuch bez obawy może w nim się taplać w błocie, choćby w listopadzie. Estetyczny, lekki, funkcjonalny — po prostu: to jest to!

Dyrektor przygląda mi się spod oka, lustrując, jakie wrażenie wywołał. Wreszcie sam zaczyna:

— Niezły, prawda? Ten jest zagraniczny. Jeszcze...

— Będziecie takie produkować?!

— Też...

— To znaczy...

— Tak jest, dla każdej grupy wiekowej, zaczynamy za parę miesięcy, zapraszam festiwal do obejrzenia wstępnej serii.

— Drogi dyrektorze, to jest „bomba”? proszę o szczegóły, skąd maszyny, jakie, wielkość produkcji?

— Przykro mi, ale jeszcze dziś nie mogę za wiele oficjalnie powiedzieć. Rozmowa sa w tych dniach po prostu finalizowane, a rozmie pan — konkurencja, ta krajowa, jest teraz bardzo duża. Ale będą to bardzo wydajne, nowoczesne agregaty wtryskowe: jedna maszyna jest w stanie w ciągu roku, wunprodukcję 300 tysięcy par takich butków.

— Z drugiego obszaru płatniczego? — męczę dalej.

— Tak, ale skąd pominiemy na razie milczenie.

— Drogi?

— Niestety, w granicach 700 tysięcy dolarów sztuca, ale dzięki nim mam wreszcie szansę osiągnąć te roczarona-na dziś granice 10 milionów par obuwia rocznie.

— Tylko, że jak znam życie, nie stać was na to, między innymi dlatego, że zyskiem z produkcji dzielicie się z budżetem.

— Dotknął pan czulej sprawy, wiele osób wciąż nie rozumie lub nie zna podstawowych zasad ekonomii.

— Klania się reprodukcja prosta?

— Właśnie, przecież ja ant ziółki nie przeznaczam na wykopy czy mury, a wyłącznie na rozwój i odtworzenie parku maszynowego.

— Chcemy mieć huty — muszą być nowe, wydajniejsze, maszyny, czyli muszą być dolary.

— Tak się to przedstawia w gigantycznym skrócie rzeczywistości. W tym roku przynajmniej, spochłatem się ze zrozumieniem naszych potrzeb i otrzymaliśmy jednorazową ulgę — tak bym to określił. Po prostu pozostawiono mi całą amortyzację. Ale i tak zaledwie w jednej czwartej jestem w stanie zapłacić za te agregaty.

— Ale maszyny będą?

— Wierzę, że tak, innej drogi po prostu nie ma.

— Nie jestem z „branży”, ale o ile się nie mylę jeszcze niedawno importowaliśmy bodaj 3,5 miliona par obuwia. Gdyby miał choć część tych pieniędzy...

— Niech pan nie kończy. Nie byłoby dziś problemu kalosza, czy w ogóle — buta.

— Dlaczego mam nie kończyć? Wyrzucano pieniądze na import, może i potrzebny, ale chyba nie w takich rozmiarach, gdy „Stomil” — będą „strzelali” — nie mogli się doprosić paru centów na niezbędny, a przysięgiową uszczelkę?

— Dokładnie tak było. A takie jak panu pokazałem i podobne obuwie moglibyśmy przecież już dawno sami produkować.

— Wspomnieliśmy o imporcie. Również „Stomil” sływał nie tak dawno z dużego eksportu. Opanowana miał pan chyba prawie całą Skandynawię, takie trudne rynki jak Austria, Włochy.

— To są dziś szczerzliwe niestety, historie. Kiedyś eksportowaliśmy 4 miliony par, dziś — zaledwie 350 tysięcy. Ale cóż — rynek wewnętrzny jest najważniejszy, choć musimy na te i inne rynki wejść, musimy ten eksport reanimować, by mieć w przyszłości fundusze na takie jak opisana wyżej inwestycje.

— Ale póki co...

— Póki co muszą te maszyny uruchomić jak najszybciej, wtedy w roku przyszłym daję ponad 10 milionów par i nie ma wówczas problemu obuwia gumowego. I wszystko jest na dobrej drodze, mamy już zresztą pierwsze niemiłe symptomy uspokojenia rynku. To też nam pomaga. A ja głęboko wierzę, że za parę miesięcy nie będę musiał rwać włosów, gdy mi kadrowiec oznajmi, że znów ktoś porzucił pracę lub przeszedł na emeryturę.

— Panie dyrektorze, teraz ja mam pytanie „za pięć punktów”: kiedy mam się zjawić by obejrzeć schodzące z maszyny takie piękne butki?

— Ależ pan jest uparty! Kiedy to się ukáže? Aha, no niech pan zajrzy w październiku...

I będę na pewno!

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

W czerwcu 1983 roku w Łodzi odbył się IX Zjazd Polskiego Towarzystwa Pielęgniarskiego województwa łódzkiego. Jakkolwiek w ostatnich latach problem braku średniego personelu daje się coraz bardziej we znaki, to zainteresowanie zjazdem władz łódzkiej służby zdrowia i innych kompetentnych czynników nie było takie, jak wymagałoby ranga zagadnienia.

Obecnie sytuacja jest gorzej niż zła. Ogromny niedobór pielęgniarek spowodował, że od dwóch lat nie może ruszyć pawilon psychiatryczny w Pabianicach, a lada moment kilka oddziałów „Kochanówki” pójdzie pod klucz. Z tej samej przyczyny zamyka się w Łodzi oddziały dziecięce, co jest już „sprawą prokuratorską”, bowiem powszechnie wiadomo, że śmiertelność niemowląt w tym mieście jest od lat najwyższa w kraju, zaś każde łóżko pediatryczne obciążone grubo ponad miarę. Tymczasem w Instytucie Pediatrii AM przy ul. Spornej (pod pozorem remontu) zamknięto trzy oddziały, następnie oddziały dziecięce przestały pracować w Zgierzu i w szpitalu Grzyźlicy i Chorób Płuc w Łagiewnikach. Co będzie dalej?

Na razie zmiennym jest fakt, że „bielanicki kryzys” dopadł pracujące od dawna na najwyższych obrotach dziedzinie opieki zdrowotnej — pediatrię i psychiatrię.

Władze Wydziału Zdrowia i Opieki Społecznej miasta Łodzi nie są bynajmniej zażenowane krótkowzroczną polityką kadrową. Nie tak

EDWARD BRYL

Kwiatuszek dla pielęgniarki

dawno, bo jeszcze 3—4 lata temu pielęgniarki były w Wydziale Zdrowia odsyłane z przysięgiowym kwitkiem, brakowało dla nich miejsc pracy, proponowano zatrudnienie w PCK — pielęgniactwo chorych w domu, sprzątanie, robienie zakupów, etc... „Zbędne” etaty zwracano do ministerstwa. Ograniczono przyjęcia, ba, likwidowano szkoły medyczne. Na skutki nie trzeba było długo czekać! Dzisiaj tłumaczenie, że nikt nie był w stanie przewidzieć urlopowych wychowawczych, czy skrócenia czasu pracy — w warunkach łódzkich nie jest żadnym usprawiedliwieniem! Bawim, kiedy bez zastanowienia zmniejszono liczbę pielęgniarek w mieście i województwie, już był na ukończeniu ogromny szpital w Pabianicach, ruszyła budowa kolosa na 1500 łóżek — Centrum AM! Także, jak miecz Damoklesa, wisiała budowa szpitala dla dzieci, o który zresztą walczono od dawna, no i wreszcie będzie — Pomnik Matki Polki!

Skąd brać potrzebne ilości personelu średniego? Obecnie w szpitalu pabianickim brakuje 200 pielęgniarek, w zgierskim tyleż samo. W Szpitalu dla Nerwowo i Psychicznie Chorych im. Gra Babińskiego, zamiast 400, pracuje tylko 150. Szpital Grzyźlicy i Chorób Płuc potrzebuje natychmiast 50 pielęgniarek. Dyrektor Wydziału Zdrowia i Opieki Społecznej, dr RYSZARD MACHNIKOWSKI, twierdzi, że wszystko to brednie, szukanie dziury w całym. Na zjeździe padło wiele pytań skierowanych wprost do niego. Nie odpowiadał — wyszedł w czasie przerwy i już nie powrócił. Prasa również zlekceważyła zjazd — termin niedogodny, wolna sobota, na dodatek snieżnica, a temat ponoć nieciekawny. Na ogromnej sali wiele pustych krzeseł. Obecny tylko jeden dyrektor ZOZ, dr J. PASIŃSKI ze Zgierza i były dyrektor ZOZ w Głownie — dr R. MINICH. Widać choćby z tego, iż kłopoty personelu średniego nie bardzo interesują lekarzy na kierowniczych stanowiskach. Zupełnie niesłusznie, bo wiele wskazuje na to, że traktując nadal lekceważąc swoje najbliższe współpracownice, lekarze niedługo sami będą musieli przejąć ich obowiązki. Już dziś bywa, że tylko 40—50 procent absolwentek szkół pielęgniarskich podejmuje pracę w zawodzie. Wola zatrudniać się w handlu, usługach. Dlaczego?

Obecnie w Polsce jest 170 tysięcy pielęgniarek, to wcale nie mało, a ciężej im brakuje i ten deficyt nieustannie się powiększa.

Mówi pielęgniarka wojewódzka z Łodzi — MARIA ZIOŁKOWSKA:

— W ZOZ-ach źle gospodaruje się kadrami średnimi. W wielu placówkach pielęgniarki pełnią funkcje sekretarek lekarzy. Nie są wykorzystywane w należyty sposób. Tak się dzieje w lecznictwie otwartym, zwłaszcza w rejonach. Przykładem dobrze zorganizowanej pracy jest ZOZ zgierski, stym — ZOZ na Górnej. Dużo pielęgniarek rezygnuje po urodzeniu dziecka. Widać, że nielawo ułożyć życie w rodzinie, wychowywać potomstwo, pracując w trzy zmiany. Przykładowo, w latach 1975—82 w ZOZ Łódź-Polesie ze 147 pielęgniarek, po urlopie macierzyńskim do pracy wróciły tylko 52.

Na zjeździe mówiono o złej organizacji pracy, braku prawidłowej współpracy na linii lekarz — pielęgniarka. Wsunęto również problem mieszkań dla pielęgniarek podejmujących obowiązki w nowych placówkach. Jeżeli już je się buduje, to wyłącznie dla lekarzy. Na potrzeby personelu średniego przeznaczają się co najwyżej hotele pracownicze, gdzie w kilkuosobowych pokojach nie ma żadnych warunków do wypoczynku relaksu, nie mówiąc już o życiu rodzinnym. Nie ma dla nich także przdziału samochodów choć tak samo są niezbędne jak lekarzom. Do jak ogromnej degradacji w tym względzie dochodzi, niech świadczy fakt, że niedawno w baluckim ZOZ pozostała po przdziałach jedna „Svenka”, której nie chciał żaden z lekarzy, więc dano ją pielęgniarcie środowiskowej z gminy Aleksandrów, ale nie zdążyła jej wykuć, bo Łódźki Wydział Zdrowia i Opieki Społecznej cofnął przdział motywując: pielęgniarcie samochód nie przysłuży! Paradoks? Nie wrecz publiczne poniżenie.

Maksymalna płaca pielęgniarki dyplomowanej z wieloletnim stażem wynosi 8.400 zł. Nie jest to wiele zważywszy, że płace w szpitalach i rejonach są identyczne, a praca nieodpłatnie cięższa. Śmiesznie niski dodatek za trzy

zmiany — 500 złotych, za dwie — 300! Kogo zaczęga dzisiaj te dwie dodatkowe setki do pracy w szpitalu na trzy zmiany?

Do problemów dyskusyjnych należy także kwestia umożliwienia dodatkowej pracy w macierzystym zakładzie. Jednym z poważniejszych jest sprawa kompetencji i odpowiedzialności pielęgniarek. Praktycznie nie posiadają żadnego wpływu na organizację pracy w oddziale, czy opiece otwartej. Natomiast uprawnienia ordynatora są szerokie i prawie określone, a oddziałowa odpowiedzialność jest za wszystko: za czyste toalety, bezpieczeństwo chorych, zaopatrzenie oddziału w leki, bieliznę, pościel, mydło, powidło, etc., ale bez żadnych konkretnych uprawnień. W „razie czego” pełni rolę przysięgiowego kozła. Ponadto obciążona jest sprawami typowo administracyjnymi. Sekretarki medyczne, które powinny się nimi zająć, są wyłącznie do dyspozycji lekarzy i podlegają li tylko ordynatorom, co jest oczywistym nieporozumieniem.

Przełączenie pielęgniarki pracą jest jej szara codziennością, z braku salowych wykonują także ich obowiązki.

— Gdyby miał zobaczyć mnie jak spocona, brudna, szoruję kotły, myję podłogę, ubikację, potem z przyklejonym uśmiechem pędzę do pacjenta z zastrzykiem, pewnie zabroniłby mi pracy w tym zawodzie albo wziął rozbiór — powiedziała młoda dziewczyna. — Harówka jest ogromna, upodlenie jeszcze większe, a wszystko za marną pensję. Nie sposób żyć mię-

dy potrzebami i wymaganiami panów doktorów, którzy najbardziej są spragnieni głębokich ukłonów, herbatek, kaw. Parzenie ich należy już do tradycyjnych naszych obowiązków.

Pielęgniarki środowiskowe są również w najlepszej sytuacji. Rejony w Łodzi przeciętnie wynoszą ponad 4 tysiące mieszkańców, zamiast od 1,5 do 2,5 tys. podopiecznych. Zdane są często wyłącznie na siebie, lekarze rejonowi nie kwapią się do współpracy. Pracując nierazko po 12 godzin dziennie, Samochodem służbowym jeżdżą wyłącznie lekarz, zatem muszą do chorych chodzić pieszo.

Może by tak skończyć z niedocenianiem personelu średniego, zauważyć wreszcie pielęgniarki także przy okazji odznaczania państwowych i resortowych. Na zjeździe wszystkie żale wylewały się beładnie, dyskusja szła niemiawo. Kierownik Wydziału Administracyjnego Komitetu Łódzkiego PZPR, JANUARIUSZ JESIONOWSKI, zaprzeczał, próbował złagodzić rozalenie.

— Przecież prestiż pielęgniarek w społeczeństwie jest wysoki — mówił. — W całej masie szary, głównie anonimowy, rzadko są narkazowane na pielęgniarki, częściej na lekarzy! Pacjenci wiedzą co komu zapłacić! A na co dzień wszyscy widzą, jak wychodzą ze szpitali z kwiatkami — a zatem są doceniane. Najważniejsza jest przecież wdzięczność ludzka!

Z okazji dnia pielęgniarki, w maju, odbyło się spotkanie z sekretarzem KC, Mirosławem Milewskim i ministrem zdrowia, Tadeuszem Szlachowskim — to też świadczy wymownie o randze, jaką władze centralne przywiązują do zawodu pielęgniarki.

Pa przerwie okazało się, że wolnych krzeseł na salę przybyło, zaś niżej za stołem obrębanym zielonym sukniem, przeznaczone dla wysokich gości, wszystkie opustoszały.

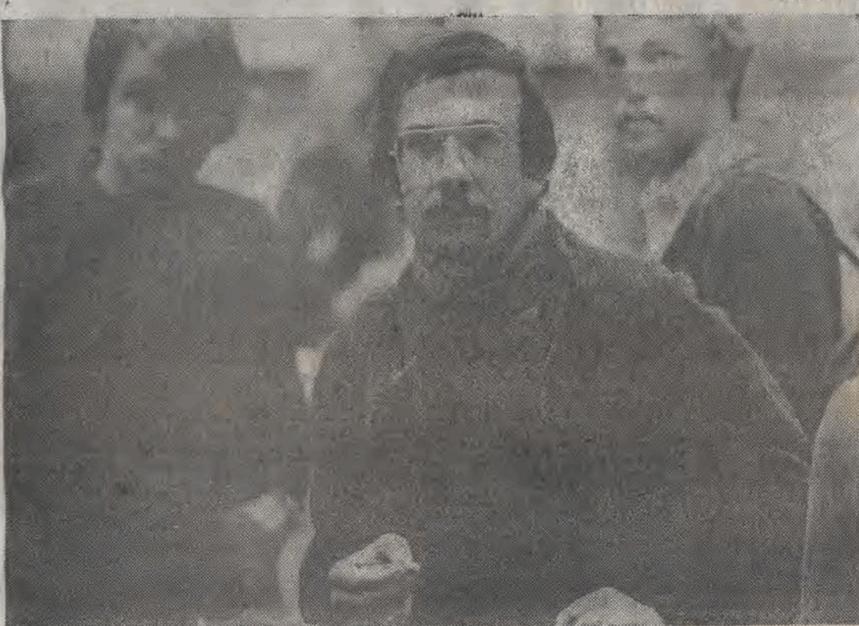
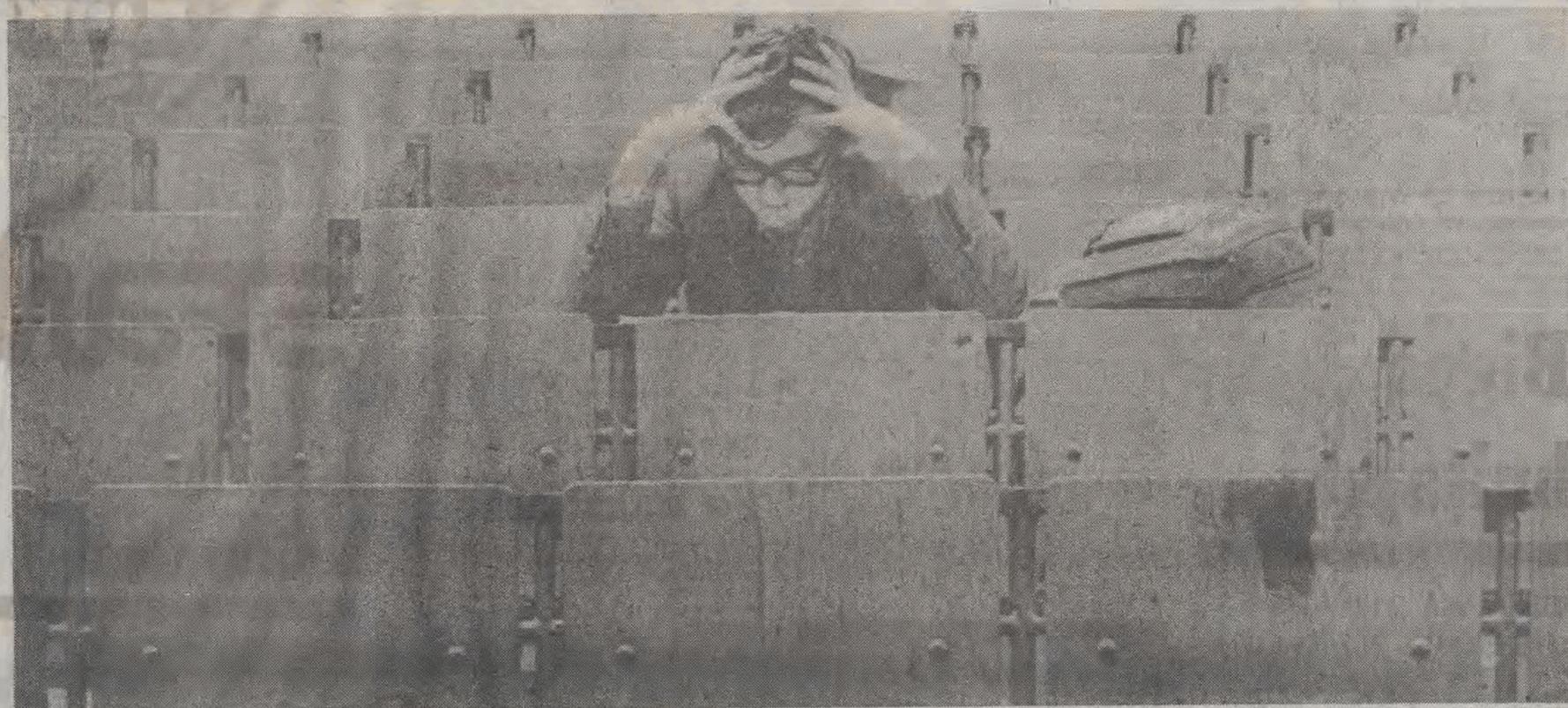
Pielęgniarki zostały same ze swoimi kłopotami, nie ma co się dziwić, wskazało to ich problemy, widocznie nie potrafia swoich potrzeb przekazać zbyt sugestywnie! Organizacja zjazdu też szwankowała, frekwencja niewielka, a w ogóle PTP nie cieszy się popularnością, należy do niego tylko jedna czwarta ogółu pielęgniarek (26 procent). Czy więc takie zjazdy mają sens i w końcu kogo one naprawdę interesują?

Minister Zdrowia i Opieki Społecznej, TADEUSZ SZLACHOWSKI, wysunął wspaniałą propozycję — tworzenia w szpitalach szkół pielęgniarskich dla potrzeb tych placówek. Ciekawe, jak nasze zaprawowane „po użyciu” pielęgniarki wywiążą się z roli „nauczycieli”, a może w szkołach tych znajdują się jeszcze inni wykładowcy i nauka pójdzie łatwo! Na razie pielęgniarki bardzo krytycznie ustosunkowały się do tego pomysłu.

Alle troska o zdrowie człowieka, to przecież sprawa pierwszorzędnej wagi Łódzki Zjazd PTP odbył się także pod hasłem „Zdrowie człowieka naszym udziałem”. Proponowaliśmy inne — najwyższy czas wziąć pielęgniarki pod ochronę, póki ten coraz rzadszy gatunek pracownika służby zdrowia nie wyginie zupełnie!

Brak ich, to nie tylko obciążenie psychologiczne i fizyczne dla tych co już pracują, ale potencjalne niebezpieczeństwo dla chorych. Wypadek im. Babińskiego przed parą laty pacjent pobudzony psychicznie dosłownie zarznął scyzorykiem innego unieruchomionego chorego. Na sali nie było nawet salowej dyżurowała jedna pielęgniarka na ponad 900 chorych, jakże mogła wszystkiemu sama doilnować?

Na oddziałach pediatrycznych placza niemowlaki, brudne, mokre, nie zawsze w pure nakarmione, bo na 50—60 maluchów jest też tylko jedna „siostra” na ponaddziesięciu dyżurze. Poszczególne zwierzętów jednostek służby zdrowia próbują jakoś zaradzić sytuacji. W ZOZ Łódź-Bałuty chęba powołał we wrześniu hufiec OHP — szkoły sanitarnej szpitalnych „Kochanówka” były na poborowych, ale nawet nie są to półśrodki. Rozwiązanie musi przysię centralnie, z resortu bo prawnie jest jedna, oraz mniej chętnych idzie do szkół pielęgniarskich — perspektywy pracy nie są zachęcające, a obowiązki i odpowiedzialność duża. Kwiatuszek tej sprawy nie załatwi.



## SKARGI JEREMIEGO

Jack Jędrzejko (1756-1819) był równie znakomitym erudyta i profesorem Szkoły Głównej Koronnej, co miernym wierszopisem i tłumaczem, z którego plodów poetyckiej weny pokpiwali współcześni. Kiedy ukazał się „Treny Jeremiasza nad zburzeniem Jerozolimy” w przekładzie Jacka Przybylskiego (Kraków 1793), pośpiesznie ukuto złośliwą frazskę:

Wiesz dlaczego Jeremiasz płakał całe życie,  
Choć go nie zawsze ściagał wyrok Boży?  
Oto, jak prorok, wiedział należycie,  
Że go Przybylski na polskie przeloży.  
Jeszcze w dziesięć lat po śmierci Przybylskiego książka Antoni Meszyński (1800-1893) opublikował podobnej treści frazskę własnego autorstwa:  
Wiedcie czemu Jeremi lzy wylewał rzewne,  
I gorzkim płaczem całe życie swe oznaczył?  
Oto, iż wcześniej przewidział zapewne,  
Że go pan Jacek będzie tłumaczył.

## Z HISTORII BIBLIOTEK SZPITALNYCH

Rozwinięta obecnie sieć bibliotek szpitalnych ze sporymi księgozbiorami, uzupełnianymi na bieżąco, fachową obsługą bibliotekarską — to trwałe osiągnięcie naszej współczesności. Nie tak in illo tem-

# Bigos hultajski

## MIESZANKA FIRMOWA LITERACKO — OBYCZAJOWA

porę bywało. Niewielkie z reguły księgozbiory dla złożonych niemocą powstawały głównie dzięki szlachetności bliźnich i akcjom charytatywnym, o czym informuje treść notatki prasowej sprzed prawie stu lat („Biesiada Literacka” 1884, t. 17, nr 34):

W Łodzi powstała szczęśliwa myśl utworzenia czytelnia dla rekonwalescentów po tamtejszych szpitalach. Za granicą podobne zakłady istnieją wszędzie, a powstają powszechnie z ofiarności publicznej. Ofiarując na taki cel książki małej albo żadnej dla nas wartości, możemy się stać dobrodziejami tych biedaków, którym nuda częstokroć nie pozwala przyjść do zdrowia tak prędko, jakby to nastąpiło, gdyby umysł ich miał odpowiednie zajęcie i rozrywkę. Cieszymy się tą myślą, tym bardziej, że ona powstała w Łodzi, niebyleżby skorzyli do inicjatywy w rzeczach ogólnego pożytku.

## DIABEL

Opowiadają o pewnym diable, którego chciano wypędzić z opętanego, iż nie mając ochoty ustąpienia usiłowanom egzorcysty, odpowiedział mu następującym heksametrem:

Signa te signa temere me tangis et angis  
(Krzyżuj się, krzyżuj), bezskutecznie mnie pokraplasz i dręczysz)

Prawdziwie diabelski to wiersz, bo czytany z prawej ku lewej tak samo brzmi jak z lewej ku prawej stronie, co ma znaczyć przestrożę przez diabła daną egzorcystę, iż z żadnej strony złapać się nie da.

„Opiekun Domowy” 1867, nr 1

## PASZKWIŁ NA TEŚCIOWĄ

Przeciwko teściowym, skądinąd zazwyczaj zagnym i sympatycznym niewiastom, od dawien dawna zwracano się ostrze satyry, ale nigdy chyba do tego stopnia zjadliwość złości się nie posunęła jak w wierszu jakiegoś bliżej nie znanego Zapolskiego (pseudonim?), który w tomiku „Poezye pamstye”, wydanym we Lwowie w 1897 r. poświęcił teściowej (czy własnej?) osobny wiersz, przedrukowany poniżej na odpowiedzialność autora.

Teściowa — wyraz straszny, piekielny, grobowy,  
Niejednemu przejmując śmiertelnym przestrachem.  
To kat zięcia! gwóźdź do trumny dla niego  
gotowy,  
Zwłaszcza, gdy z nim razem jest pod jednym dachem.

Cheesz-li widzieć szatana w ohydnej postaci,  
Lub Lucypera, piekiel księcia pana,  
Lub psa wściekłego, gdy kasze swych braci,  
Albo kaprala, cara lub tyrańca?

Cheesz-li widzieć, co sławna tortura hiszpańska?  
Albo żmija, gadzina, ropiąca się rana,  
Lub czarownicy złośliwość szatańska:  
To jest dzisiejsza teściowa kochana!

Ona ci życie na zawsze zatruje,  
Unieszczęśliwi do grobu zapędzi!  
I żonę przeciw tobie rozjątrzy zbuntuje,  
Wiecznie się wścieka, kłóci, gdera, zrzędzi!

Wiecznie jakieś wady w zięciu wynajduje  
I choćby był aniołem, diabła z niego stworzył  
Jak samowładca rządzi, rozkazuje,  
A ty siedź cicho, bo gębę otworzył!

Jeśli przeto cheesz mężu żyć ze żoną w zgodzie,  
I uniknąć intryg, kłótni, zamieszania,  
To trzymajże teściowa w odległej zagrodzie,  
Unikaj jej jak ognia, nokusy, szatana.

Aby choć trochę, proszę Szanownych Teściowych,  
złagodzić Wasz słuszny gniew po lekturze inkryminowanego tekstu niżej podpisany oddaje głos utalentowanemu publicyście, nie pozostawiając przy okazji dowcipu — Kazimierzowi Bartoszewiczowi, który tak oto zdefiniował teściową w swym humorystycznym „Słowniku prawdy i zdrowego rozsądku” (Warszawa 1905):

Teściowa — ulubiony konik, na którym jeżdżą wszyscy humoryci. Autor słownika dla zwykłego, również się do niej najeży przyzwoicie. Co prawda, jak się teściowa uda to niezmiernie matematycznym słownym stad nicieńców gotów za darmo odstąpić swą żonę aby się tylko pozbawił teściowej. Ale są czasami teściowe lepsze od rodzonych matek.

Opracował:  
ANDRZEJ KEMPA

8 ODGŁOSY

# Wirydarz poetycki

Barbara Janke-Bianek

Pabianice

Nieustępliwie wyciągasz  
ręce do słońca.  
W miękkim wodnistym świetle  
toną ręce.  
Stoję pod wielkim niebem z blach,  
poritym rowami strzeleckimi.  
Na polu bitwy żołnierze  
zmieniają się prędko w obłoki.  
Odpływają morzem błękitnej czerwieni.

Jan Strzagała

Gliwice

## Drzewo

Kiedy ścinał drzewo  
młczalo  
Upadło w przeciwną stronę

dziura w powietrzu

świeciła nocą  
Zdarli korę  
przestało szumieć  
Dojrzało do dłuta

nad pustym miejscem  
krzyżowały się ptaki

Popękało  
wzdłuż przeznaczenia  
Wyrzeźbiono z niego anioła  
stał przy głównym ołtarzu w parafialnym kościele

Kłęczący przed nim już  
trzy pokolenia drwali.

## Kim jestem

Są takie drzewa odważne  
które szumią  
w najczarniejszy ranek  
kiedy innym liście przymarły  
wzdłuż ciała

Są takie ptaki nadziei  
które lecą dalej  
choć inne zostały  
w obcych krajach

Są takie rzeki niekonwencjonalne  
które utonęły  
by nie płynąć  
w stronę  
brudnych sadzawek

I jest na Ziemi taka ziemia  
która wskrzesza zmarłych  
by dać żywym odwagę  
— być drzewem szumiącym  
i orłem  
i człowiekiem wolnym

Kiedy się wypełnią dni  
i ta ziemia mnie przyjmie  
Wyrośnię takim drzewem  
Wzniosę się tym ptakiem  
Dopłynę rzeką do źródła  
bo jestem Polakiem.



Rys. Janusz Szymański-Glane

Wacław Krakowski

Łódź

## Spróbuj

Słońce podawane z nogi na nogę  
przez bawiące się dzieci  
i kudłaty łeb barana  
uwiązany do kępki trawy  
zobaczysz  
Plac 9 Maja ukosem przechodząc  
do Dworca Kaliskiego  
jak kiedyś

Łódź kwiecień 1983 r.

## Po wakacjach

Z nóg zdjęte łódzkie chodniki  
po wakacjach  
jak pantofle  
wkładam na nogi  
zmęczone

Łódź 1978 r.

Henryk Piotrowski

Łódź

Maj przynieś w dłoni  
Agatem tkany

Gody żebracze  
Dłonią wyczaruj  
Oczom zapadłym

Może przykupny  
Obolem Charon  
Jutro oddali

Aktem przekory  
Światło przywróci

Łódź maj 1983

## Moja Artlandia

I  
Przeszyta krzykiem  
Stężałego żaru  
Ulatasz w przestrzeń  
Bezwolna i głucha  
Nie słyszysz głosu?

II  
W dusznym kwadracie  
Niesfornego mroku  
Strop bioder unoszę  
Powoli jak skałę.  
Nie słyszysz głosu!

III  
Spój, nikt nie przyszedł...

IV  
To kolory tęczy  
Złobią Ci przyszość  
Niepewna i męska —  
Kilwator losu.  
Nie słyszysz!

V  
Czy jeszcze wrócisz  
Ciekawcy kraniec?

Łódź, luty 1983



## Kronika kulturalna

Jaki będzie świat za... set lat? Jak będą, a jak nie będą wyglądały wtedy pojazdy kosmiczne? Jak sobie wyobrażam i z czym mi się kojarzy fantastyka?

Na te i wiele innych pytań starali się odpowiedzieć autorzy prac graficznych i malarskich, wystawionych w Galerii SFAN-CLUBU. Otwarcie wystawy miało miejsce 15 czerwca br. w gościnnym pomieszczeniu Grotki Warszawa (na pigierku). Wystawa czynna będzie do połowy lipca. Serdecznie wszystkich zainteresowanych zapraszamy — zwłaszcza w środy (dni spotkań klubowych). Wstęp wolny.

Ekspozycja ta zapoczątkowała działalność stałej galerii fantastyki. Zamierzamy eksponować wszelkie formy pozaliterackiej twórczości związane z fantastyką. Będą to rysunki, fotografie, rzeźby (o ile ktoś wykona takowe), i co tylko komu przyjdzie do głowy.

Zapraszamy wszystkich parających się czy to amatorko, czy zawodowo sztuką o nadawanie prac do naszego klubu. Wszelkie wartościowe prace postaramy się eksponować, obieując jednocześnie ich zwrot po wykorzystaniu.

MD.

W MUZEUM na Radogoszczu otwarta została interesująca wystawa, poświęcona 39 rocznicy Powstania Warszawskiego „Warszawa walczy”. O wystawie tej pisaliśmy szerzej wcześniej, przy okazji jej ekspozycji w Warszawie. Warto więc obejrzyć ją i skonfrontować spostrzeżenia.

UTALENTOWANY młody śpiewak z Wrocławia, Radosław Żukowski (bas), laureat Ogólnopolskiego Konkursu im. Didura w Katowicach w 1981 roku i Międzynarodowego Konkursu im. Czajkowskiego w Moskwie (6 miejsce), otrzymał II nagrodę na międzynarodowym konkursie wokalnym „Voci Verdiane” we Włoszech. Warto dodać, że I nagrody w kategorii basów w roku bieżącym w ogóle nie przyznano.

I LIPCA rozstrzygnięty został konkurs na pamiętniki robotników polskich okresu trzydziestolecia PRL, ogłoszony wspólnie przez Instytut Podstawowych Problemów Marksizmu-Leninizmu, RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Komitet d.s. RTV, Towarzystwo Przyjaciół Pamiętnikarstwa oraz redakcję „Trybuny Ludu”.

Pierwsza nagroda w konkursie otrzymał Edward Migas z Warszawy, trzy drugie: Henryk Goliński z Katowic, Antoni Kruszyński z Warszawy oraz Kazimierz Majchrzak z województwa poznańskiego. Sześć nagród trzecich przyznano: Czesławowi Jasińskiemu z Bogatni, Pawłowi Kubiakowi z Piastowa, Janowi Markowi z Rzeszowa, Stanisławowi Muszyńskiemu z Warszawy, Waldemarowi Mrozowskiemu z Torunia i Janowi T. Zarebskiemu z Sosnowca. Ponadto sąd konkursowy przyznał wyróżnienia autorom dwunastu innych zgłoszonych prac. Przewodniczącym jury był prof. Jan Szepeński.

FILM „Vabank” Juliusza Machulskiego znalazł się w programie czeskosłowackiego festiwalu ludzi pracy „Lato — 83”. „Eroice” Andrzeja Munka i „Do widzenia, do jutra” Janusza Morcensterna prezentowano w zachodniemieckiej TV.

TRADYCYJNA kosielińska impreza „Młodzi i film” odbędzie się w tym roku w dniach 18-21 sierpnia już po raz jedenasty. Te ciekawe spotkania filmowe poświęcone polskiemu filmowi fabularnemu o tematyce młodzieżowej wzbogacane są prezentacjami filmów o tej tematyce z krajów socjalistycznych. Prezentować je będą twórcy. Wezmą oni również udział w dyskusjach z widzami pod hasłem „szczerść za szczerść”.

# Oniegin o krok od doskonałości

JERZY KWIECIŃSKI

Wysoka w świecie pozycja muzyki Czajkowskiego jest już tak ustalona, że aż trudno dziś uwierzyć, że jego twórczość, tak przecież wybitna, a jednocześnie stosunkowo przystępna mogła być kiedykolwiek nie doceniana — czy to przez krytykę, czy przez publiczność. Z niedowierzaniem czytamy opinię rosyjskiego krytyka i kompozytora, Cezara Cui, przedstawiciela „Potężnej gromadki”, który, oceniając wczesne utwory Czajkowskiego ubolewał, iż: „konserwatorium wypuszcza takie beztalentia!”

Ponadto nieczęsto się zdarza, żeby czyjś twórczy dorobek uległ we względnie krótkim czasie tak znacznemu przewarstwowaniu, jak to się stało z poszczególnymi dziełami Czajkowskiego. Za szczyt jego osiągnięć na polu opery, jeszcze po jego śmierci — uznawano powszechnie „Mażepę”, z muzyki baletowej ceniono najwyższą „Śpiącą królową”, a z muzyki symfonicznej doceniano w Rosji i na Zachodzie początkowo tylko III Symfonię D-dur, a już ponad wszystko wyniosło uwerturę-fantazję „Romeo i Julia”. Chwalono też bardzo jego kompozycje religijne, za ledwie zauważając Pieśni.

Czajkowski tak sobie brał do serca owe pierwsze opinie, że pod ich wpływem, widocznie w chwili skrajnego zwątpienia, zniszczył rękopis opery „Udnie” i pierwszą wersję poematu symfonicznego „Fatum” i być może wiele jeszcze innych utworów, które nie wiadomo jak byśmy dziś oceniali...

Nie sposób też, o upływie niespełna stu lat, pogodzić się z bardzo autorytatywną wówczas oceną, wkrótce po śmierci kompozytora, iż: „w jego dziełach obok momentów dziewięcioletniej delikatności i czułości” spotyka się na równi „półzwiązki barbarzyństwo i brutalność” (Riemann). Widocznie to, co było zamierzonym „brutalizmem” odbierano pierwotnie jako prymitywizm twórcy.

„Eugeniusz Oniegin”, określany przez kompozytora jako „sceny liryczne”, też nie od razu zyskał sobie uznanie (o czym pisze się obszerniej w drukowanym programie Teatru Wielkiego, jak zawsze wzorowo redagowanym). Obecnie krytyka i chyba znaczna część operowego audytorium (przynajmniej ta bardziej wyrobiona muzycznie) odbiera operę jako jedno z najwartościowszych dzieł sceny muzycznej, pełne szlachetnego liryzmu i prawdy dramatycznej oraz orkiestrowego kunsztu, godne inspiracji artystycznej ówczesnej i wielkiego dzieła literackiego, co w operze znów nie takie częste (a znany wiele przykładów banalizujących niemilosierne literackie treści pierwowzoru).

Nasza łódzka premiera okazała się więc przedsięwzięciem artystycznie ambitnym, a z pewnych względów — o czym później — dość ryzykownym. Przede wszystkim nadano dziełu ogromnie interesujący kształt sceniczny, z wyraźną intencją uniknięcia operowej sztamoty przez sytuacyjne i psychologiczne uwiarygodnienie rozwoju akcji. Reżyser **MACIEJ PRUS** zatroszczył się o naturalny, niewymuszony przebieg działań, co napotykało jedynie „opór materii” w postaci nie zawsze sprawnego aktorstwa poszczególnych wykonawców. Szczęśliwie uniknięto też statyczności, gdzie to było uzasadnione, łącząc ruch ze śpiewem i to zarówno solowym, jak i chóralnym, wplatając w to niesłychanie znaczące sceny baletowe, które nie stanowiły wyodrębnionego sztucznego popisu tancerzy wśród tiumnu biernych „statystów”, lecz stawały się jakby organicznym elementem akcji.

Dobrze to świadczy o wrażliwym zrozumieniu reżysera z choreografem, **EWA WYCI-CHOWSKA**, której układy, odznaczające się świeżością pomysłów, jak choćby w aranżowaniu walca, były niezwykle płynne i pełne wdzięku. Taki przykład właściwego pojmowania roli baletu w tego typu operze, jako nośnika dramatycznych treści i składnika ogólnego nastroju stanowił świadomie „teatralizowany” polonez, w którym witalny się korowód tancerzy rozdzielał się na grupy taneczne o zróżnicowanej w danym momencie funkcji, to zastępując w wymownym bezruchu (a jednak z gestem wewnętrznie uczestniczącej w akcji), to na oswobodzone włączając się w korowód. Zespół baletowy zrozumiał swoje zadania jak najlepiej.

Bardzo udana oprawa świetlna wprowadzająca w klimat dzieła stworzył scenograf, nie dziwnego więc, że publiczność powitała oklaskami podniesienie się kurtyny, która odsłoniła oczom rozszalonemu silecki pejzaż ogrodowy, utrzymywany w pastelowym kolorycie. I choć przynamniej, że wole w operze dekorację w charakterze umownego „skrótu”, wolną od intencji przedstawiania świata, by wyglądał w szczegółach „jak żywy”, ponieważ, wydaje mi się, bardziej odpowiadała umowności opery jako gatunku, tutaj jednak poddałem się bez oporów urokom mistrzowsko „podrobionemu” natury, podobnie jak mi się to zdarzyło na przedstawieniu MCHAT-u Bardzo to było „rosyjskie”, a więc całkiem na miejscu.

Ta scenografia **ANDRZEJA WILKOWSKIEGO** doskonale zresztą zafunkcjonowała, niewiele zmieniona, w scenie pojedynku (która wraz z całym II aktem połączona została z aktem I, stanowiąc z nim

czesć pierwszą). Odstępstwo od tradycyjnego podziału uzasadniał dramaturgiczny zamysł: przyjęcia owego tragicznego pojedynku jako istotnej cezur, od tego bowiem momentu zaczyna się decydująca odmiana losów Tatiany i przeobrażenie wewnętrzne Oniegina, co zarazem stanowi załazek finałowej kulminacji. Rozdzieliło to wprowadzenie utworu na dwie bardzo nierówne części, wydłużając nieproporcjonalnie część pierwszą, ale było to uchybienie przeciwko wytrzymałości psychologicznej widzów (z czym należy się trochę też liczyć), niż grzechem przeciwko dramaturgii. Można więc inscenizatora (i reżysera w jednej osobie) uniewinnić.

Skoro już jesteśmy (i to przez cały czas) przy pozytywach, to wymienimy jeszcze jednego z głównych bohaterów przedstawienia, którym okazała się orkiestra, prowadzona przez **TADEUSZA KOZŁOWSKIEGO**, który przygotował „Oniegina” muzycznie. To co się w niej nieustannie dzieje w sensie dramatycznym i czysto muzycznym jest tu niezwykle ważne dla całości i zostało też dzięki dyrygentowi wydobyte w sposób najchwalebniejszy (piszę cały czas o pierwszym, czyli sobotnim przedstawieniu). Poza niewielkimi początkowo kiksami i niedoróbkami w instrumentach, detekcja całość brzmiała porównawczo, zwłaszcza kwintet smyczkowy. Ale może to być wina akustyki określonego miejsca na sali, że na samym wstępie pierwsze dźwięki rozpoczynające (bodaj trzykrotnie) tę samą powtarzaną frazę były w smyczkach zbyt niskie i mało wysłuchane, jakby owe konieczne tutaj piano dochodziło z jakiejś zasłony. W sumie jednak orkiestra przeżyła eksponowała głosy poszczególnych grup instrumentów, mogła zachwycać subtelnością dynamicznego cieniowania i ekspresją brzmienia. Było więc czego słuchać, kiedy zbyt mało zaobserwowania sprawiali soliści i ансамble.

Bo, niestety, że śpiewakami nie zawsze szło jak należy, niektórzy miewali kłopoty z rytmem i rozmiarali się z orkiestrą, która akurat w tym utworze nie ma spełniać biernych roli akompaniatorskiej i nie może podganiać lub zwalniać tempa w sytuacjach nieprzewidywanych partyturą, musi bowiem skupiać się na muzycznym współdziałaniu z partiami wokalnymi.

Na samym początku za tę asynchronizację ponosił winę kwartet żeński, w dodatku chwilami niezbyt czysto śpiewający. Zresztą, gdy kwartet rozpadł się wyraźnie na dwa jednoczesne duety, lepiej z sobą współbrzmiały równo prowadzone głosy **STANISŁAWY SZOPIŃSKIEJ** i **JOLANTY ZIELIŃSKIEJ** (Larina i Fili-

powna), niż dwu głównych solistek. Pięknie za to wypadł duet **Tatiany (DANUTA SALSKA)** z **Filipową**.

Dzięki swoim warunkom scenicznym i swobodnej grze aktorskiej Salska stworzyła przekonującą sylwetkę bohaterki, wyszła też obronną ręką z wielce odpowiedzialnej partii pisania listu, gdzie wokalne wątki muzyczne tak ściśle uzupełniają się i przeplatają z instrumentalnymi. Do żywiołowej, pełnej radości i temperamentu roli **Olgi** niezbyt dysponowały **IZABELĘ KOBUS** jej aktorskie możliwości, a strona wokalna nie wolna była od usterek.

Największe, moim zdaniem, nieporozumienie stanowi odsądzenie **JERZEGO WOLNIKA** w roli **Leńskiego**, wymagającej chyba większego doświadczenia, lepszego poczucia rytmu i mimo wszystko większego głosu. Dużo starań włożył wprawdzie w słynną arię przed pojedynkiem i dobrze wypadł w przedpojedynkowym duecie (o formie kanonu) z **Onieginem**. We wcześniejszych scenach nie on był chyba winien za dość fatalną prozodję swojego tekstu (czyżby taki wytrawny tłumacz?).

**TOMASZ FITAS** w roli **Gremina** bardzo pięknie, miękko i ciepło brzmiałym głosem i muzyczną frazą rozpoczął swoją arię na balu o miłości do Tatiany, dalej jednak trochę słabiej utrzymywał się w dyscyplinie wokalne, niewielej kłopotów miał jednak z gestykulacją. Chyba najbliższą niespodzianką wśród głównych postaci sprawił widzom i słuchaczom **ANDRZEJ NIEMIEROWICZ** w tytułowej roli. Śpiewał dobrze technicznie i muzycznie, poruszał się swobodnie, choć niefortunnie, moim zdaniem, ustawiono go aktorsko na podobieństwo „hrabiego Anglika” z „Lalki” Prusa, zamiast na bardziej nonszalanckiego dandysa.

Nie sprawił natomiast żadnej niespodzianki nikomu, kto zna jego śpiewacze i aktorskie możliwości **ROMAN WERLINSKI** w roli **Triqueta**. Śpiewał nienagannie, pięknym brzmieniem i muzycznie, grał (i nawet podtańczył) z zachwycającą lekkością i prawdziwym nerwem scenicznym, toteż zbierał zasłużone brawa. Ale dykcja prawie w wszystkich zdecydowanie szwankowała. W roli **Rotmistrza** całkiem obiecująco wypadł adept **PIOTR NOWACKI**.

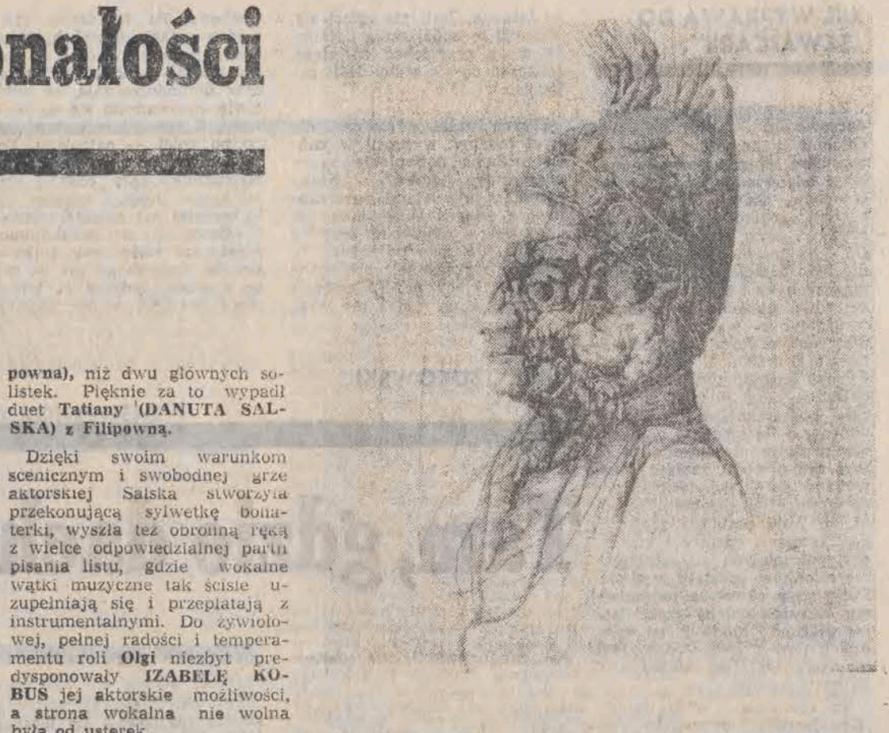
Ogólnie jednak biorąc na niepełnym sukcesie przedstawienia, zaważyły ujemnie niedostatki wokalistyki i po części aktorstwa. Podobno w drugiej odsadzie niektóre partie były śpiewane zdecydowanie lepiej. W takim razie — dlaczego znów dwie formalnie równorzędne, a faktycznie nieporównawcze odsady, zamiast jednej w miarę doskonałej? Co innego dalsze przedstawienia, w których, naturalną rzeczą kolejną pojawiać się muszą inni śpiewacy, będący w odpowiednim momencie do dyspozycji i gwarantujący właściwe wykonanie wokalnych zadań w danej partii. Nie każdy przecież, nawet wśród najlepszych artystów operowych, może śpiewać każdą partię i grać każdą rolę, a niewłaściwie obsadzony psuje sobie niepotrzebnie artystyczną reputację.

Słowem — do pełni szczęścia brakuje teraz tak niewiele.

Piotr Czajkowski: „Eugeniusz Oniegin”, sceny liryczne w 3 aktach. Libreto Modest Czajkowski wg Aleksandra Puszkina, przekład Jerzy Zagórski. Kierownictwo muzyczne Tadeusz Kozłowski. Inszenizacja i reżyseria — Maciej Prus, scenografia — Andrzej Wilkowski, choreografia — Ewa Wycichowska, kierownictwo chóru — Andrzej Chmielowiec. Premiera w Teatrze Wielkim w Łodzi, 23 czerwca 1983 r.



Foto: Chwałostaw Zieliński



## Sezon w piekle

ANDRZEJ GRUN

Akwaforty José Hernándeza tętną mrocznym mistycyzmem i drapieżną poezją pełną trwogi. To rozkład i herezja. Szturm na logikę prowadzony w lochach podświadomości. Hernández jest demoniczny i bezgłębny jak hiszpańskie średniowiecze z inkwizycją i całą resztą. W magicznym świecie kreacji artysta ten ucielesnia tragiczny absurd kultury, która musi unicestwić się permanentnie, aby dawać dowody swego istnienia. Musi rozpaść się, gnąć, pleśnieć — aby istnieć. Fascynująca wizja, ukazana w sposób znamionujący nadzwyczajne opanowanie warsztatu, przykuwa uwagę i niepokoi.

Jest tu coś z bezdennych otchłami dręczących snów. Koszmarnych imaginacji rozszalałej wyobraźni. Coś, co przywodzi nam na myśl Goyę, a jednocześnie kieruje nas w stronę świata mrocznych, nie nazwanych magii i celebracji, fantasmagorii płynących ponad czasem, świata chorobliwego, który przeżył sam siebie. Każde nam myśleć o Fabiusie von Guel i Odilon Redonnie. W niezwykłym klimacie okrucieństwa, w scenierii rozpadającej się architektury, skał, wawozów, kolumnad, które nie podtrzymują już żadnych stropów, schodów prowadzących w nicość, dzieją się rzeczy dwuznaczne i anormalne, sięgające dna ludzkiej psychiki. Pośród drapieżnych, nierealnych postaci, nie spotykamy przedmiotów-znaków, przedmiotów-symboli dzieje się misterium rozpadu, Misterium śmierci i życia, bliźsze śmierci.

José Hernández wprowadza nas w gąszcz spraw ostatecznych i niemoralnych. Nierealnych i ponadludzkich. Ponadczasowych. W rejonach, z których nie ma już powrotu. Sam przynajmniej: „Rozumień twórczość Lautréamonta, Poe'go, Kafki, Rimbauda... Odkrywam klasyczny hiszpański”. A kiedy indziej: „Nie odczuwam już potrzeby malowania z natury. Zamykam się w czterech ścianach i pozwalam się nawiedzać przez inne elementy rzeczywistości, z których uznaniem za właściwe początkowo zwlekam. Kiedy w końcu je akceptuję — znajduję siebie (...)”.

Hernández jest Hiszpanem. Urodził się w 1944 roku w Tangerze, w rodzinie „o przekonaniach republikańskich i sentymentach andaluzyjskich. (...) Mieszkałszy w zakątku starej dzielnicy miasta, zamieszkanym w swej większości przez Żydów sefardyjskich i przez Hiszpanów. Zarówno jedni, jak i drudzy zniszczyli na przestrzeni czasu harmonie architektury arabskiej, tworząc barokowy konglomerat (...). Te obrazy z mojego dzieciństwa wspominam jako martwe. Powoli zaczynam je zaludniać, zapelniam puste przestrzenie — tworząc obrazy mojej inwencji. Jestem tym, kogo nazywają dzieckiem zamkniętym w sobie, które się samo z sobą nie nudzi”.

Chodzi najpierw do szkoły hiszpańsko-religijnej, a potem francusko-swieckiej. Odkrywa, że „matematyka i rysunek są rozrywkami jego samotności”.

Pracuje jako kreslarz u pewnego inżyniera, uczęszcza do gimnazjum. „Te lata to czas niekończących się porannych biegów po odludnej plaży. Odkrywam wtedy, że tylko malując nawijając kontakt z tym, co mnie otacza. Maluję z natury. (...) Spragniony informacji o malarstwie zamykam się w bibliotekach publicznych i pochłaniam książki bez składu i ładu. Wkraczam w świat, gdzie po omacku wyczuwam preferencje i pogardę wobec różnorodnych form pracy i myśli. Pierwsze i niezapomniane natchnienia związane są z odkryciem dzieła Soutine'a, Modiglianiego, dzieł Juana Gris...”.

Hernández jest samoukiem. Nie uczęszczał do szkół artystycznych. Spotkania z Emilio Sanz de Soto, postępowym intelektualistą hiszpańskim sprawiło, że „przezność i teraźniejszość, tego co zgodni jesteśmy nazywać Kulturą, zostały zamienione w coś niepojętego, a jednocześnie wyrażonego. Bez jego mistrzowskich wskazówek (...) nigdy nie mogłbym pisać o sobie jako o malarzu” — wyznaje José Hernández w szkicu biograficznym.

Wyjeżdża do Madrytu, pracuje w biurze projektów w charakterze kreslarza, maluje nocami. Spotyka ludzi życzliwych, którzy mu pomagają. „Wspomnę właściwie nazwiska trzech: Pablo Runyan, José Jardiel i Antonio Saura. Pablo Runyan zaferował mi swój dom i pożywnie, kiedy tego potrzebowałem. José Jardiel zapoznał mnie z pewnymi technikami malarskimi, co okazało się dla mnie bardzo ważne. Antonio Saura kupił ode mnie pierwsze obrazy umożliwiając mi w ten sposób dalszą twórczość. (...) W 1966 roku cieszę się z mojej pierwszej ekspozycji w Madrycie”.

Potem są już wystawy zagranicę, uznanie. Wystawa, którą prezentuje José Hernández w Galerii Baluckiej towarzyszy międzynarodowej imprezie Małe Formy Grafiki. W imprezie tej uczestniczy artysta po raz drugi.

Hernández chętnie sięga do literatury. Tworzy cykle inspirowane utworami Jamesa Joyce'a, Artura Rimbauda, Juana de Jauregui, Eduarda Rodri, Anguela Gonzalesa i innych. Ukazuje się bibliofilskie wydania trzech poetów i raryzmy z oryginalnymi grafikami Hernández'a. Ten artysta realizmu absurdu tworzący w klimacie logiki nieprawdopodobieństwa czuje się wrażliwie w towarzystwie Rimbauda, de Jauregui, Joyce'a, pokrewnych i niepokrewnych wyobraźni.

Czynione są podobno starania, aby w naszym malarstwie José Hernández'a. Warto.

### XIII. WYPRAWA DO „SZWAJCARII”

Za tydzień kończyło się kalendarzowe lato, zbliżał się okres chłódów i deszczów. Należało pomyśleć o przygotowaniu młotów i odpowiedniej odzieży dla chłopów, którzy w większości byli „spaleni”. Oddział nie mógł na zimę pozostać „w lesie”. Na terenie jego działania nie było przecież stałych i bezpiecznych kwatery, a poruszanie się zima, po śniegu, należało wykluczyć ze względu na bezpieczeństwo. Poza tym obawiano się przebiegów. Komenda Okręgu postanowiła więc z najbliższymi zimą oddział rozpuścić i pozostawić w ukryciu do wiosny, o ile sytuacja w kraju nie uległa zmianie. Z tego też powodu zaczęto robić wypadki do „Szwajcarii”, czyli za granicę Generalnej Guberni, do Warthegeu dla zdobycia na Niemczech odzieży i pieniędzy potrzebnych na utrzymanie członków oddziału w zimie. Dotychczas nawet za najmniejszy kawałek chleba skrupulatnie płacono ludności, co między innymi było powodem przychylnego jej nastawienia do partyzantów.

Na pierwszą wyprawę do „Szwajcarii” wyruszyło ze wsi Kolacinek, gdzie do oddziału dołączył na pewien czas pchor. Gajda (Włodzimierz Szuster) jako specjalny łącznik dowództwa do przejmowania i opiekowania się lupem, który miał zostać zdobyty w lesie z niemieckich wsi. W czasie przeprawiania się po prowizorycznej kładce przez wazilukę rzeczkę Mroge, która stanowiła granicę między GG a Reichem, jedno z brzoźców zalało się i Langiewicz wpał do wody. Najpierw usłyszano trzask pekającego drewna, potem — plusk wody, a następnie — przerażający krzyk: „Ratunku, tonię!”. Po oświetleniu wody latarką (noc była ciemna) ukazał się komlany widok: po pas w wodzie stał wystraszony i mokry Langiewicz, który wypuścił też z ręki karabin i granat. Musiał ich potem szukać na dnie no omacaku. Szczęście, że nie było w pobliżu patroli Grenzschutzu.

Po tej przymusowej kąpieli Langiewicz musiał wyszperać się w marszu, gdyż nie zabrano zapasowej odzieży, a z oferowanej mu suchej kowalski nie chciał skorzystać. Murmurał, że nie ma zamiaru dokonywać cudzych wsty. W tym czasie cały oddział był już bowiem zawieszony.

Celem wyprawy była wieś **Cyrusowa Wola**, gdzie mieszkało kilku zamożniejszych gospodarzy niemieckich, u których miało zarekwirować odzież, gotówkę i łatwe do skrytowania wartościowe przedmioty. Ponieważ gospodarstwa niemieckie były tu dużo większe od polskich, więc domy Niemców stały w większej odległości od pozostałych. Ułatwiło to znacznie podejście do poszczególnych zagrod bez zwracania uwagi sąsiadów.

Zgodnie z planem patrol Kapra ubezpieczał całą akcję, zaś trzy pierwsze patrole — zając się szabrowaniem równocześnie trzech zamożniejszych gospodarstw. Początkowo psy narobiły trochę hałasu, a po pewnym czasie — na rozkaz patrolowych — uspokojone zostały przez swoich gospodarzy i zapanowała cisza.

W godzinie północy na posterunku Kapra dano się słyszeć skrzypienie wozu i stajania konia po brukowanej drodze. To wracał pierwszy patrol obok wladowanego wozu, zarekwirowanego jednemu z Niemców dla przewiezienia lupy. Koniem powoził narobek. Polak, służący u tegoż Niemca. Po przeprowadzeniu wozu i oddziale przez znany mu bród na Mrodzie, chłopak poprosił o przyjęcie go do oddziału. Niestety, musiano mu odmówić, nie tylko dlatego, że nikt go nie znał, ale — że nie było potrzeby i możliwości powiększenia oddziału. Po stronie GG nastąpiło spotkanie z grupą głowieńskiej „dywersji”, która dowodził pchor. Miecz (Władysław Białas). Wtedy to wóz wraz z lupem przekazano Gajdzie, który miał się zająć zabezpieczeniem zdobyczy.

Po tym spotkaniu oddział powędrował na kwatery do starego przyjaciela partyzantów... volksdeutscha Kirscha. Miał on duże gospodarstwo, stojące na uboczu w pobliżu wsi Wina Góra. Przed wojną nazywał się Winiarski i stał się już gość u stajni oddziału Sama. Tym razem jednak wizyta okazała się trochę nie w porę, gdyż Herr Kirsch miał właśnie wezwanie do stawienia się na posterunku żandarmerii

w Jeżowie. Jeśli nie zgłosi się, wzbudzi to podejrzenia i Niemcy mogą przyjechać do niego, zobaczyć co się stało. Jeśli pojedzie...

Kirsch, zaklinając się na życie swej rodziny, wyprosił w końcu u Sama pozwolenie na opuszczenie „kotła”. Nigdy przedtem nie wydał partyzantów, a poza tym — jako zakładnicy — zostawała przecież rodzina. Po tego odjeździe w oddziale zarządono ostre powołanie, a kiedy minęła godzina powrotu, a on wciąż nie wrócił...

### JERZY ŻUKOWSKI

## Tam, gdzie dachy słomą kryte (8)

cał zapanowało lekkie zdenerwowanie. Rodzina Kirscha zaczęła się modlić — co dziwnejsze — po polsku, wychodząc widać z założenia, że modły w ojczystym języku lepiej będą wysłuchane przez Boga.

Wkrótce na podwórze zagrody wpał Kirsch na spienionym koniu, pobiegł do stajni, na zanku Sama i gorączkowo zaczął tłumaczyć się ze swego spóźnienia. Jako ostatni interesant musiał długo czekać na załatwienie swej sprawy, na końcu zaś Oberwachmeister jął wypytywać go, czy nie wie czego o partyzantach i czy czego podejrzanego nie zauważył w okolicy. Żandarmeria rozgadała się, a na nim cierpła skóra, zwłaszcza, że czas powrotu już minal. Nic jednak nie powiedział. Sam uwiertził mu, ale za karę kazał postawić do kolacji, po kieliszku bimbru, na co Kirsch skrzętnie przystał.

Tego wieczoru odbyła się specjalna wieczerka — przy akompaniamencie harmonii, na której przegrywał sam Herr Kirsch. Panny Kirschówny nomały nawet śpiewać, gdyż zdążyły już nauczyć się paru oddziałowych piosenek.

Jak się później okazało, volksdeutsche Kirsch rzeczywiście nie powiedział nigdy nic o bytności partyzantów ani o niego, ani w najbliższej okolicy.

### XIV. KWATERA PRZY MŁYNI

Po pierwszej wyprawie do „Szwajcarii” zorganizowano drugą i trzecią. Po każdej z nich oddział odskakiwał dosyć daleko, przeważnie na drugą stronę linii kolejowej, gdzie przez parę dni nie ujawniał swej bytności. Tym razem po powrocie oddział minal Rogów i stanął we wsi **Władystawów**, w pobliżu dużego lasu, w gospodarstwie niedaleko starego młyna nad Rawką. Już dawno oddział nie był na tak dobrej kwatery — z daleka od wsi, a blisko lasu.

Zaraz po rozlokowaniu się w stodole rozstawiono trzy posterunki wartownicze, w domu mieszkalnym — z zadaniem obserwowania okolic od południa, w oborze — z widokiem na groble, młyn i łąki od północnego zachodu, i w krzakach tuż za stodołą — od

wschodu. Po śniadaniu, które zjedzono około ósmej, były tak zwane zajęcia wołne, czyli czyszczenie i przegląd broni oraz umundrowania, co właściwie sprowadzało się do bicia wszy. Czynności te wykonywano po kolei — patrolami. Poza tym wolno było spać, gdyż poprzedniej nocy oddział zrobił kawał drogi i wszyscy byli bardziej niż zwykle zmęczeni. Zgodnie z regulaminem przebywać wolno było tylko w stodole, rozmawiać zaś — tylko szeptem. Jedynie ci którzy mieli pomagać w przygotowa-

Sam doskoczył do wrót stodoły i po chwili powiedział: — Paru żandarmów jest na dworze przed domem. Musimy ich zlikwidować. Trzeci i czwarty patrol wyjdź przez tylne wrota i zająć oskrzydlające stanowiska po obu stronach stodoły, a reszta za mną na dwór. Uważać na Niemców ood gankiem.

Po tych słowach przez lekko uchylone drzwi stodoły Sarr szybko wypadł na dwór, a za nim kilku jeszcze chłopów. Od razu powitały ich strzały żandarmów. Przebiegając pod

darzy. A kiedy przekonano się, że Niemcy nie zorganizowali jednak żadnej akcji przeciw partyzantom, oddział znowu wyruszył na wyprawę do „Szwajcarii”. I oto na kwatery, gdzie właśnie przebywał, przyszedł patrol trzech Grenzschutów, którzy domyślając się, iż w gospodarstwie dzieje się coś dziwnego, zawrócili do furtyki i odjechali szybko swymi rowerami, z czego obie strony były zadowolone. Niemcy, ufając że nie nie zauważą, nie musieli reagować, a partyzanci w ostrym pogotowiu docze-

Juka szedł prosto przed siebie lekko wymachując rękami. Za pasem miał zatknęty pistolet, którego nie mógł jednak już ani przełożyć do kieszeni, ani użyć, gdyż Niemców było zbyt wielu. Liczył, że pierwszy wóz przesłoni jego widok siedzącym w następnym. Postanowił też, że w przypadku zatrzymania go, będzie się starał jakoś wytłumaczyć swoją tu obecność — w kilka tygodni po zniknięciu z folwarku. Coś im powie, ale co? Z największym wysiłkiem pracujący umysł nie był w stanie podsunąć mu w tej chwili żadnego sensownego wytłumaczenia. Myślał tylko o jednym: zatrzymają, czy nie? Czuł, że gdy furmani zaczęły zwałniać, rozpocznie się strzelanina, bo chłopcy na pewno obserwują go i wypadnie im tylko otworzyć ogień do Niemców. A gdy już padną strzały, w którą stronę uciekać? Żeby tylko nie oberwać od swoich...

Gdy pierwszy wóz był już całkiem blisko, zwinął się kroku, szedł Juka ze środka drogi, dając pole furmankom. Pierwsza minęła go, nie zważając na bieg, a cztery pary bystrzych oczu przyjrzały mu się bacznie. Z drugiej też padły badawcze spojrzenia. W pewnej odległości za nimi jechała trójca, wioząca pięciu policjantów i jednego żandarm. Tym razem Juka musiał wytrzymać lustrujące spojrzenia tylko policjantów, gdyż żandarm siedział tyłem do kierunku jazdy i rozmawiał z policjantem z przeywka. Ten na moment odwrócił wzrok od Niemca, spojrzal na Jukę i zbladł. Juce serce podskoczyło do gardła, wiedział już, że został przez policjanta rozpoznany. Na całe szczęście był to **Henio Kłosowski** — „wtyczka” głowieńskiej organizacji w granatowej policji. Juka odetchnął, ale przytężył emocje, okazały się tak silne, że kiedy furmanki odjechały, musiał usiąść na chwilę i odpocząć.

Na kwatery też nastąpiło odprężenie i kiedy wreszcie odwrócił się tam Juka, został prawie przez wszystkich serdecznie wyściskany i wycalowany.

Gdy po pewnym czasie Henio skontaktował się z Łosim, z którym należał do jednej grupy dywersyjnej, powiedział mu, że kiedy wozy dojechały do Głowna, jadący z nim żandarm odwołał go na bok i zapytał:

— Heniek, co ty tak straszliwie zbladł, kiedy mijaliśmy tego faceta pod Zawadami? Wiesz, czulem, że coś śmierdziało, ale przy innych wołach o nic nie pytałem, żeby nie wywnioskowała z tego jakaś niepotrzebna draka i wiesz, co ci jeszcze przyjdzie? Dziel się, że te dwie świni Serbjan i Rahn chodzą jeszcze po świecie. A teraz chodźmy na wodkę, bo dzisiaj jest powód do wycisza. Tylko my dwaj o tym wiemy.

Henio z żandarmem poszedł na wodkę, ale przez długi czas czuł się bardzo niepewnie. Po paru dniach żandarm podszedł do niego i wręczając mu jakąś paczuszkę, powiedział:

— Nie bój się, trzymaj wysk, a to daj komu trzeba.

Kiedy Henio został sam, odwinął na uboczu dosyć ciężką paczuszkę i zobaczył, że jest w niej sto naboń do wiatoletu kalibru 9 mm. Widać naboń przetrzasnął go. Czy ten młody żandarm z Gdańska, plynący mówiący po polsku, zrobił to, by go spłukać, a naboń miał być dowodem? Przecież Niemcy bardzo skrupulatnie odnotowywali rozchód amunicji. A może jest on przedmiotem hitlerowcom i stara się chociaż w ten sposób odmóc tym, którzy z nimi walczą?

Stawka rozwiązania tej zagadki była jego wolność, a może nawet i życie. Wiać czy ostatecznie w policji? Heniek zarzekował i wbrał to długie. W końcu ludzie w lesie i w „dywersji” też przecież ryzykowali. Poza tym gdyby uciekł, Niemcy na pewno aresztowaliby jego matkę. Pozostał więc, lecz zaczął być bardziej ostrożny w kontaktach z przyjaciółmi, by w razie wadki jak najmniej osób pociągnąć za sobą. A prezent od żandarma przekazał przez Łosia ppor. Mieczowi, który w tym czasie był dowódcą głowieńskiej „dywersji”.

C.d.n.  
Opracował  
i do druku podał  
**PAWEŁ  
TOMASZEWSKI**





# Dwa spojrzenia

Po dwuletniej przerwie zjechały się do Sieradza kapele ludowe, zespoły folklorystyczne, ustawiono stragany, twórcy ludowi na oczach publiczności lepili garnki, rzeźbili, tkali. W Galerii Sztuki otwarto popiełnerową wystawę malarstwa, w Muzeum Okręgowym zaprezentowano sztukę ludową Sieradzkiego, a w Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej przygotowano rzadką kolekcję regionalistów. Przez trzy dni Sieradz był ko-

do tego nadwarciańskiego grodu. Przez wiele lat uczestniczyłem, na prawach członka, w posiedzeniach Wojewódzkiej Rady Koordynacyjno-Programowej do spraw Upowszechniania Kultury. Wiele się wtedy mówiło o zamierzeniach mających zaktywizować młode województwo, powstawały ambitne programy, snuto plany na przyszłość: na tę najbliższą i na tę bardzo odległą, nawet zapadały decyzje. Jednym słowem był autentycz-

Moje wędrowki po Sieradzu zazwyczaj rozpoczynają się od Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej. Jest to placówka zatrudniająca ludzi ogarniętych szlachetną pasją krzewienia czytelnictwa, a jednocześnie fanatyków — zbieraczy wszystkiego, co miejscowe, regionalne, dotyczące historii ich ziemi. Na VI Jarmark Sieradzki przygotowano tu w czytelni wystawę noszącą znamienne nazwę: „Regionalia w zbiorach WBP”, zgrupowaną w czterech działach. MAREK JEDRAS, który ją opracował, widząc moje

Tamtejszy Wydział Kultury i Sztuki z własnych funduszy zapoczątkował w 1978 r. cykl książek autorów związanych z Sieradzem. Na wystawie „Regionalistów” znalazło się siedem tomików wydanych niezwykle pieczołowicie przez Ludową Spółdzielnię Wydawniczą, w opracowaniu graficznym SŁAWOMIRA IWANSKIEGO. Nowy dyrektor Wydziału Kultury i Sztuki (znów nowy, choć ZOFIA SOBCZAK szefowała podobnemu wydziałowi jeszcze w byłym powiecie sieradzkim, a potem przez kilka lat pełniła funkcję zastępcy dyrektora już w województwie), a więc nowy dyrektor zapewnia, że nie popuści, i że seria „Arkusze sieradzkie” ma nadal zielone światło, przykładem czego jest fakt, że następne tomiki z tego cyklu w niedługim czasie trafiają do czytelni.

ca polega tylko na jej umiejętnym wyrobieniu. Mówi się talent, a ja twierdzę, że zwyciężają trzeba mieć smykałkę. Talent, to coś wielkiego, ale żeby dobrze zrobić dzbanek, potem go wypalić — trzeba naprawdę mieć smykałkę. Nasz fach umiera, wyparły go metalowe miski i garnki. Dawniej na wsi wszystko trzymało się w naczyńkach glinianych i z glinianych naczyń się jadło. Dziś ludzie wracają do gliny, kupują...

Zapytałem dyrektora Wydziału Kultury i Sztuki UW, ZOFIĘ SOBCZAK jak ona ocenia rozwój życia kulturalnego na wsi.

— Związek Młodzieży Wiejskiej ma wszelkie szanse, aby rozruszać naszą wieś. Musi być jednak spełniony pewien, niezbędny warunek: młodzi muszą zaznaczyć swój udział we wszystkich organizacjach samorządowych działających na wsi, takich jak OSP, Samopomoc Chłopska, Związek Kółek i Organizacji Rolniczych, Kółko Gospodyń Wiejskich itp. I jeśli należy tam być, autentyczni działacze, zapaleńcy, jeśli będą zabierać głos i podejmować decyzje, i jeśli powiedzą sobie, że nie o wsi bez nas, dopiero wówczas Wydział Kultury da odpowiednie środki na działalność. Będę wspierał i finansował, wszelkie twórcze inicjatywy, będę wspierał moralnie każde dzieło służące wspólnej sprawie, a mające tytuł: kultura.

A oto wypowiedź honorowego przewodniczącego Zarządu Wojewódzkiego ZMW WŁADYSŁAWA TOMASZEWSKIEGO:

— Uwaga! Uwaga! Uwaga! — Uwiad kulturę na wsi nastąpił w momencie oświecenia wszystkich organizacji młodzieżowych. Takie stado nie wróżyło nic dobrego. Przez te lata, kiedy ZMW egzystował w federacji, ponieśliśmy niepowodzenia straty. Straciliśmy niemal jedno pokolenie: młodzi odzwyczajali się od samodzielności. Dziś, chcąc ocalić, reaktywować, lub ożywić, reanimować, musimy sięgnąć po stare roczniki, te z końca lat sześćdziesiątych. Od 1980 roku trwa praca nad odyskaniem, a więc ożywienie pozostawiam młodzieży. Na dobrą sprawę wieś opuszczała, młodzi nadal uciekali, bo w mieście i pracą i życie inne. Więc szukamy ludzi chorych na chorobę społecznikowską, sięgamy do „wiciwołów” pragnąc przejąć od nich pewne, wypracowane i sprawdzone formy działalności, staramy się opanować szkołę. Marzeniem naszym jest, aby choć co trzecia wieś miała własny zespół amatorski...

I tak, obok siebie, bo rektor WDK od placu Świerczewskiego dzieli krótką uliczką, odbywały się dwie ilustracje tego samego: żywej kultury wiejskiej i jej strony organizacyjnej. Na estradzie a potem w amfiteatrze trwał festyn zespołów pieśni i tańca. Maciło się w oczach od barw i głuchło od skocznych poleceń i oberków, tymczasem na twarzach obradujących młodych ludzi na ich I Forum Kultury ZMW malowało się skupienie i troska. Sądzę, że to dobry znak. Sieradzkie ma czym się chwalić, posiada zespoły taneczne, kapele gawędziarzy, ludowych poetów, rzeźbiarzy, wycinankarki, gajarzy, tkaczy, malarzy, hafciarki, zespoły dziecięce... Mimo to zwołano wspomniane forum, bowiem ambicje środowiska są duże, dużo większe.

Pani dyrektor Wydziału Kultury i Sztuki UW na moje pytanie: czy takie jarmarki staną się tradycją, odpowiedziała, że ten jest już szósty, a każdy następny będzie urządzany co dwa lata. Bo to i koszty są niebagatelne, no i ranga wówczas większa. Oczywiście tegoroczny festyn nie jest tak zadęty, jak te z lat poprzednich, za to jest bardziej autentyczny.

— Proszę sobie wyobrazić — mówi — że dziś zjechały zespoły zupełnie samorodne, takie, które nie posiadają nawet instrumentów i muszą je wyprodukować. Ważne na to postawiliśmy. Nie stukać dać pieniądza, przydzielili instruktora, żeby na choreografa itp. Szukają jest wybitnie autentyczne talenty i je otoczyć fachową opieką. Tegoroczny festyn zszedł z koturnów. Nie ma tu sztucznej entuzjazyzmu ani toniego efektu artystycznego. Prawda jest taka: ludzie na wsi czują muzykę, śpiew i taniec. Wystarczy, by otoczyć tych ludzi opieką, dostrzec ich...

Uważnie przysłuchiwałem się dyskusji i cieszyło mnie, że nie jest to potakwanie ani grzecznościowa ugoda obu spierających się stron. Miałem wszakże jedyną niepokojącą: czy tym wspaniałym chłopcami i pięknymi dziewczynami „będzie się chciało” wprowadzić w marazm sieradzkiej wsi twórczy niepokój? Czy staną się drożdżami swoich środowisk?

— Nauczylem się wypalania i formowania, gdy miałem 12 lat. Właściwie z każdej gliny można zrobić garnki, tajemni-

EUGENIUSZ IWANICKI

## Bez koturnów

lorowy, rozspiewany i roztańczony. W czerwcowym upale, na rozprężonym do białości placu, w powietrzu ciężkim i gorącym odbywał się przegląd zespołów. Moja lekka, przewiewna koszula lepila się do pleców, sandały parzyły stopy, a na estradzie śpiewali i skakali do nieba ludzie ubrani w ciężkie i ciepłe pasiaki i zapaski, w wysokie sznurowane buty lub buty z cholewami. I tak przez kilka, a może przez kilkanaście godzin: jedną orkiestrę zmieniała druga, schodzący z estrady zespół taneczny wital inny, wchodzący. Mokrzy, dyżący ostrym suchym żarem powietrza zamkniętego w prostokącie placu Świerczewskiego, tancerze dla odpoczynku siadali na rozgrzanych słońcem kamieniach, by obserwować swoich kolegów z innych miasteczek i innych wiosek. A tuż obok, zaledwie kilkaset metrów w kierunku Łodzi, płynęła Warta oblepiona z obu brzegów przez plażowiczów niczym plaster miodu przez pszczoły.

W Sieradzu nie byłem blisko trzy lata. Wiele się na to złożyło, że nagle dla mnie wydłużyła się niepomniernie odległość

ny entuzjazm wywołający nadzieję, że Sieradzkie nie będzie białą plamą na mapie kulturalnej kraju. Dojeżdżałem do Sieradza na wszystkie posiedzenia jako przedstawiciel Związku Literatów Polskich. I bardzo wierzyłem w słowa wypowiedziane przez władze województwa odpowiedzialne za rozwój kultury. Wkrótce jednak posiedzenia Rady Koordynacyjno-Programowej przerodziły się w zwyczajne zebrania, a potem stały się uciążliwym obowiązkiem, gdyż niewiele wynikało z praktycznych działań, z mądrych i rzeczowych nieraz postulatów, jakie przedstawiano na owych posiedzeniach. W końcu i to ustało. Entuzjazmu starczyło zaledwie na kilka pierwszych lat euforii spowodowanej nowym podziałem administracyjnym kraju.

W ostatniej dekadzie czerwca 1983 r. pojechałem ponownie. Mogłbym teraz napisać, że Sieradz, jak zawsze jest gościnny i że spotkałem w nim wielu dawnych znajomych, a nawet ludzi mi życzliwych, że miałem możliwość spędzić kilka godzin z moimi przyjaciółmi — poezmi, ludźmi pióra, entuzjastami wszystkiego co ludowe, niebanalne, autentyczne. Ale przyjechałem przecież z konkretnym zamiarem. Chciałem przekonać się, czy przez te trzy lata — czużurą których stał się 13 grudnia 1981 r. — coś się zmieniło, a jeśli tak, to jaki to ma wymiar i ciężar gatunkowy.

zdziwienie wywołane ilością prezentowanych eksponatów, powiedział, że to zaledwie mała cząstka, że wszystko, co zdołało zebrać w ciągu ośmiu lat istnienia WBP, nie zmieściłoby się do dwóch wagonów towarowych! Nowy dyrektor WBP ZBIGNIEW LIS (właściwie nie nowy, bo całe swoje dorosłe życie przepracował w bibliotece, a przez kilka ostatnich lat pełnił funkcję zastępcy dyrektora sieradzkiej WBP) o prowadzącą przybyłych na jarmark poetów, jakby się tłumaczył, że wystawiono zaledwie tyle, choć pragnęlibyśmy więcej, bowiem związki Sieradzkiego z Łodzi, ze środowiskiem pisarskim, są dawne i trwałe.

WBP od kilku lat wydawała cykl zatytułowany „Sylwetki pisarzy”. Są to opracowania dokonane przez pracowników Uniwersytetu Łódzkiego, a traktujące o twórczości tych pisarzy, którzy w jakiś sposób byli lub są związani z Ziemią Sieradzką. Rzecz narodziła się w 1980 r. Wydano siedem publikacji. Zapewne ta ciekawa i niebanalnie pomyślana seria będzie kontynuowana, jak będą kontynuowane spotkania twórców z ich czytelnikami.

Innym, niezmiernie ważnym wydarzeniem w życiu kulturalnym miasta była akcja druku tzw. „Arkuszy sieradzkie”.

O wystawie „Regionalistów” mógłbym rozwodzić się długo, ale i tak nie przekazałbym w pełni jej treści i jej bogactwa. To trzeba koniecznie zobaczyć. Obejrzać zbiory dotyczące sztuki ludowej i folkloru, plastyki, zbiór prac dyplomowych i magisterskich, plakaty, dokumenty przyznawane do dziejów Ziemi Sieradzkiej...

Na placu Świerczewskiego, w pepku miasta, gdzie zazwyczaj wszystko się zaczyna, w owym ukropie gorąca i zaduchu, nie tylko prezentowały się zespoły i orkiestry, ale postawiono budki handlowe, a także posadono twórców ludowych, i to jakich! By na oczach ciekawskiego tłumu popisali się swoją sztuką.

JOZEF CHAŁADAJ: jedna z czołowych dziś mistrzyni tkactwa, wycinankarstwa i haftu. Specjalnością jej są wielobarwne mazury — wiele skomplikowana kompozycja polegająca na tym, że na dużą wycinankę nakleja się mniejszą, na tę jeszcze mniejszą i tak dalej. Każda z nich ma inny kolor i motyw, ale całość jest tak pomysłowa, że nie psuje kompozycji. Mówi:

— Zawsze mieszkalam w Mornicach, a teraz to się nazywa Krakowskie Przedmieście. Wie pan: krowy, świnię, pola — ale brzmie miastowo, bo przyłączono nas do Sieradza. I byłem jestem teraz z miasta, ale nadal jestem chłopką. Pyta pan co to jest, ta wycinanka? To ulga, bo w niej jest zawarty nie tylko trud, ale i radość. Kiedyś ludzie wycinankami dekorowali swoje domy. Szczęśliwie przed wielkimi świętami, kiedy ściany były pobielone, wtedy naklejało się na tę biel, na wapno, wycinanki. Chodziło o to, by gospodarz, jak przyjdzie z pola, czuł się od razu lepiej, odświeżenie. Tak było zawsze, dopiero po ostatniej wojnie, kiedy zaczęto kłaść na ściany wafki, wycinanki straciły swój praktyczny sens. Na szczęście jest Cepelia i bierze każdą ich ilość...

STANISŁAW KORPA: rzeźbiarz i malarz znany w całym kraju. Jego „Wojciechowa z dziećmi” jest alegorią Matki-chłopki, a obraz olejny „Przed miastem” dokumentem Polski, jaka odeszła na zawsze do przeszłości i legendy. Mówi:

— Wojciechowa — to symbol rodziny wielodzietnej, biednej rodziny wiejskiej. Proszę popatrzeć na te dzieci: zabiedzone, wymęczone, ubrane byle jak, głodne. Jedno z nich sse paluszek z gliną. To nie wymysł, taka była kiedyś Polska... Albo weźmy tę ot rzeźbę. Kobieta idzie poświęcić święcone na Wielkanoc. Obok niej dwie dzieci: jedno niesie chleb, inne placek. Idą pod krzyż. Tam stawiano stół z białym obrusem i trzeba było wszystko to na ten stół postawić. Przyjeżdżał ksiądz i kropił. Za tę postług otrzymywał jaja. Nieraz w bryczce miał ustawione kosze wiklinowe i jak objechał kilka krzyży, to miał pełne kosze jaj. Ja właśnie chcę, by nie tylko obrzędy przekazać potomnym, ale i prawdę o tamtych czasach...

HIERONIM MUSZYŃSKI: gajarczyk, z którego wiedzy korzystała i korzystała nadal zawodowi plastycy (m.in. u niego uczył się wpałania Wacław Kondek). Mówi:

— Nauczylem się wypalania i formowania, gdy miałem 12 lat. Właściwie z każdej gliny można zrobić garnki, tajemni-



Foto: Mirosław Zajdler

## Wyprzedził ambicji

JOLANTA WRÓŃSKA

Sprawa była ohydna. Dwóch chłopaków, ledwo co pełnoletnich, dokonało gwałtu na 19-letniej dziewczynie. Dziewczyna, po kilku kieliszkach, chłopaki, dodatkowo pracowali z piwkiem-utrwalaczem. Puścili wszelkie hamulce, a sprzyjające okoliczności dopełniły resztę. I stało się. Dziewczyna — z ciężkimi obrażeniami ciała, w stanie poważnego szoku trafiła do szpitala. Sprawcy, rychło odnalezieni, stanęli przed sądem, zapadły wyroki. Rzeczą całą opisał w tygodniku „Nad Wartą” Wojciech Chmura („Alkohol, trawa i ona”, nr 19 z 12 maja 1983 r.).

W mieście, jakim jest Sieradz, więcej widać, dalej słychać. W takiej Łodzi tuzin podobnych spraw giną w tłumach ludzi, a — dajmy na to — na ulicy Włokienniczej, można wrzeszczeć o pomoc do sądnego dnia. Co najwyżej, mieszkańcy szczerzej domkną okna, by w razie czego nie latać za świadków po sądach. Toteż, gdy w Sieradzu wydarzył się wypadek, larum się podniosło okrutne, w kolejkach urągano rozwydrzonej młodzieży, a władze podjęły działania zmierzające...

Akta sądowe, udostępnione mi do wglądu dzięki uprzejmości prezesa Sądu Rejonowego w Sieradzu, pana Garnarczyka, wskazują na jedno. Dotychczas nie karani młodzi ludzie, na ogół nie sprawiaczy większych kłopotów wychowawczych, uczący się lub pracujący, czyli grzeszni i spokojni, nagle po dużej wodce, uzupełnionej piwkiem, dostają małego rozumu. Warszewka ucivilizowanych nawyków i zachowań okazała się bardzo węża. Ni z tego, ni z owego tragedia w rodzinach, rozpacz rodziców i wstyd na całe miasto. Spraw tego typu sądy sieradzkie rejestrują ostatnimi czasy nieco więcej, niż w latach ubiegłych. Nie oznacza to jakiejś szczególnej eksplozji poważnych przestępstw popełnianych przez ludzi bardzo młodych, ani że Sieradz staje się znieczarna siedliskiem występku.

Przeważają na ogół „normalne” sprawy o włamaniu, wybrzydki chuligańskie czy inne postacie wykroczenia. Rzeczą w tym, że okoliczności towarzyszące popełnionemu gwałtowi wydają się sygnalizować znacznie poważniejszy problem. Dla sprawców wypita tym razem wódka przyniosła wyrok pozbawienia wolności 3 i pół i 4 i pół roku. Dla 18-letnich ludzi to bardzo dużo. Sąd wziął pod uwagę zarówno alkohol — okoliczność obciążającą, wysoka społeczna szkodliwość czynu oraz poważne obrażenia ofiary gwałtu. Wyrok jest prawomocny i nie mnie komentować sentencję wyroku.

Pamiętać jednak trzeba, że skutki jednej pijanej nocy odbijają się na przyszłości trzech młodych ludzi. Wiadomo, że żadne więzienie nie jest dobrym środkiem wychowawczym, choć czasem jest absolutną koniecznością. Pewne jest też, że te lata z kratami pozostawia swe ślady w psychice. Czy ci chłopcy potrafią się stać mądrzejszymi po takich doświadczeniach dorosłymi ludźmi, czy nie — to zależy niemal wyłącznie od nich samych i od ludzi, wśród których się znajdą po powrocie na wolność.

Równie, a może i wyższą cenę, zapłaciła ofiara, młoda dziewczyna na progu dorosłości ciężko doświadczona wstrząsem, który z pewnością pozostawi blizny i urazy. Pomijając fakty stwierdzone w aktach sądowych, warta uwagi jest także, a może przede wszystkim, cała otoczka towarzysząca wydarzeniu.

Wycieczka z łódzkich zakładów „Lido”, z którą przyjechała na sobotnio-niedzielny piknik ofiara wypadku, to cymes sam w sobie. Jedyny punkt programu zakładał wypoczynek na łonie natury z wódeczka oraz ewentualnie dyskotekę w towarzystwie miejscowej złotej młodzieży. Niby nic takiego, w końcu gdzie jest powiedziane, że zaraz trzeba zwiedzać zabytki, muzea, albo spotykać się z miejscowym ciekawym człowiekiem. Najmłodsze z — przeważnie żeńskie — uczestniczek wycieczki miały po 16-17 lat, najstarsze — 21-22, zaś szef ekskursji — przewodniczący zakładowej organizacji ZSMP, niewiele starszy od swych podopiecznych. I znowu niby nic, bo kto powiedział, że kierownik musi być psem ogrodnika i stróżować nad cnotą i morale jakby nie było rozgarniętych i świadomych rzeczy panien. Każda w końcu wie co robi, a jak nie wie — jej kłopot. Ponadto wiadomym jest, że i

tak się nikogo nie upilnuje wbrew jego chęciom. Toteż przebieg wycieczki sprowadził się do „pracy w podgrupach” wedle upodobań. Kierownik przestał sobie zwracać głowę organizacją wkrótce po przyjeździe do Sieradza, zaś panienki we własnym zakresie znalazły towarzystwo wśród miejscowej męskiej młodzieży, zwabionej świeżo przybyłym „towarem” („na papierosa zerwać towar potrafi najgorszy kaleka... — napisał W. Chmura w „Nad Wartą”). No i — stało się.

Panienki, z dala od oczu rodziców, w mieście, gdzie ich nikt nie zna, rozluźnione kroplą alkoholu same prowokowały sytuacje interpersonalne, lały po kątach ciemnego parku, otaczającego pawilony OSIR-u, aż sprokowały. Kierownik wycieczki dowiedział się o wszystkim rano, przepawszy kamieniem całą burzliwą noc. Dopiero milicja wyjawiała mu, co się stało. Akta sprawy sądowej pełne są zeznań wszystkich możliwych świadków. Wyłania się z nich obrazek bezmyślnych smarkul, zalanych młodzieńców i kompletnie nierozgarniętego pana kierownika, który powrócił do Łodzi z czystym sumieniem. Bo niby o co chodzi? Jeśli ofiara tak dalece spoufala się z obcymi chłopakami, że dobrowolnie wędruje z nimi po ciemnych alejkach parku, znaczy święta nie jest i wie co robi. Więc niby nie ma winnych.

Wypadek ten każe się jednak zastanowić nad podstawowym pytaniem, jak to się dzieje, że na pozór spokojni, nie sprawiaczy kłopotów młodzi ludzie tak łatwo przeobrażają się w bezmyślnie zwierzętka i byle kieliszek alkoholu wystarczy, by puścili wszelkie normy i zasady. Dlaczego młodzi tak ciężko muszą płacić za swą niedorosłość. Każdy ma obowiązek myśleć i odpowiadać za siebie samego. Nie da się popychać bez końca nieczyjego myślenia. 18-letni ludzie stają się w pełnym tego słowa znaczeniu obywatelami odpowiadającymi przed prawem za swoje postęпки. Będem byłoby traktować nastolatki jak zupełnie bezrozumne głuptasy, które zawsze i wszędzie trzeba prowadzić za rękę, ochraniać przed kosztami życia i decydować w ich imieniu. W końcu każdy musi spróbować sam. Jednak — co tu mówić — 18 lat to — obiektywnie rzecz biorąc — nie jest wiek najgłębszej mądrości. To wyjątkowo wybuchowy okres w życiu każdego człowieka. Z jednej strony formuje się własne, indywidualne doświadczenie, stosunek do wartości etycznych, świata i ludzi, z drugiej — jak nigdy, właśnie wówczas poszukuje się wzorców, mistrzów i punktów odniesienia. Zeby wódeczka i piwko nie były jedyną rozrywką, a „rwanie towaru” sobotnio-niedzielnym przerwaniem szarej codzienności, ktoś musi dać młodym nawyki korzystania z książki, teatru, kina, ktoś musi dać wzorzec, chętnie i bez przymusu naśladowany.

Najprościej jest zakazać, ograniczać, grozić palcem i podsuwać gazetowy kawałek z opisem takiej jednej, co nie słuchała ojca i matki. I tu do rodziców trwa w błogim spokoju sumienia i dobrze spełnianego obowiązku wychowawczego, za wszystkich mając wikt i opierunek zapewniony dzieciom. Wystarczy przecieć powiedzieć, że się urabia ręce po łokcie, żeby dzieci miały. Mają więc ciuchy, płyty, forsy i dużo czasu, petając się pozostawione same sobie.

Sieradz nie jest pod tym względem ani lepszy, ani gorszy niż inne miasta. Rodzice, zajęci codziennymi sprawami, pracą, zarobkami, zapewnieniem podstawowych warunków bytu, gubią z oczu podstawową swą funkcję wychowawczą. Między klimatem domu, szkołą i środowiskiem, w którym obracają się młodzi istnieje często przepaść poglądów i wyznaczonych wartości. Dzieci średnio zarabiających rodzi-

ców mają pieniądze na bardzo wiele rzeczy i marzy im się prywatny interes, ciężka forsa i dobry samochód. Stąd też skłonność wielu rodziców do przerzucania na szkołę ciężaru opieki i wychowania „na przywoitych ludzi” młodego pokolenia. Rodzice na szkoły, szkoły na rodziców, i tak trwa ten ping-pong od lat, a młodzi — w końcu zostawieni sami sobie — po omacku i na własną rękę uczą się życia.

Wielkie miasto daje więcej możliwości i tych w dobra, i tych w zła stronę. Tam — gdzie ośrodek z niewielkiej, sennej miejsciny gwałtownie się rozrasta, zmieniając swój charakter, tam następuje ostrzejsze zachwianie modelu dotychczasowego życia.

Przed reformą administracyjną Sieradz był niespełna 15-tysięcznym ośrodkiem miejskim dużego regionu rolniczego. I taką też pełnił funkcję, a tempo życia wyznaczał bieg robót w polu. Po 75 roku Sieradz stał się stolicą samodzielnego województwa, a dawna przynależność i bliskość wielkiej Łodzi stała się co najmniej drażniącą dla ambitnych władz województwa. Wzrosły ambicje, przybito uprawnień, choć niekoniecznie możliwości. Szarpnął się Sieradz na parę reprezentacyjnych gmachów, na jedno przywoite kino i kilka innych inwestycji komunalnych. Na białych wyrasta nowe miasto — sztańca bloków, jakich wszędzie pełno. Dziś, 30-tysięczne miasto ma własną gazetę, własny teatr i sto innych atrybutów dużego miasta, ale nadal pozostało sennym miasteczkiem, gdzie niewiele się dzieje, a działacze kulturalni i społeczni mają do zaozrania olbrzymi ugor martwej ciszy kulturalnej.

Dla wielu nowych mieszkańców meldunek w bloku, w mieszkaniu z łazienką jest po prostu formą lokaty kapitału. Posiadane w okolicy gospodarstwo rolne jest podstawowym źródłem utrzymania, tam też, w pobliskiej wsi żyje się i mieszka co na dzień. Jak wiadomo, lokata w mieszkanie w mieście jeść nie wola, a przydać się może. Nie jest też Sieradz centrum wielkiego przemysłu, nie powstają nowe fabryki, toteż nie ciągnie tu tłum przybyszów. Nawet — co u nas normalne — naturalny ośrodek regionu rolniczego nie stał się centrum przemysłu rolno-spożywczego i przetwórczego dla swego zaplecza.

Powolnywanie się na dawne świetne tradycje kulturalne nie może stanowić usprawiedliwienia dla dzisiejszej nijakości, braku nawyków, wyrobienia w obcowaniu z inną niż telewizor formą kultury. Zadebie nowego województwa dało o sobie znać w sposób szablony i powtarzalny w licznych innych przypadkach. Od razu chcemy mieć wszystko. Co z tego zostało? Rozbebeszona budowa Urzędu Wojewódzkiego, którego wieżowiec góruje nad miastem. Budynek teatru, nieszcześnie usytuowany w cichym zaułku, zjeje ciszą i pustką. Własnego zespołu nie ma, bo nie ma mieszkań. A sprwadzane spektakle łódzkich teatrów kompromitują miasto pustą salą. Wojewódzki Dom Kultury też bardziej pasuje dla dzieciarni, niż dla 18-letnich obywateli, proponując kilka modelarskie i inne formy niekoniecznie dopasowane do zainteresowań współczesnych nastolatków. Na pohybel ambicjom została przytulnie wyglądająca dzielnica parterowych domków i ogródków — Olendry, po których nie należy się szwendać bez wyraźnej potrzeby, zwłaszcza po zmroku i bez obstawy zaufanych tutejszych.

Co zatem w Sieradzu może ze sobą począć nastoletnia młodzież? Może, oczywiście, pić wódkę na zmianę z piwem, demolować w parku ławki, „zrywać towar” oraz sprawiać utrapienie rodzicom i funkcjonariuszom MO. Może, ale czy musi?

Jeden z koleistów osądzonych sprawców gwałtu wygłasza opinię następującą:

— Wsiowa cisza, ludzie w polu, nie ma co ze sobą zrobić, więc ręce same łapia za sztachety, a nogi niosą do trzech jedynych miejsc, gdzie się człowiek może napić.

Ma Sieradz trzy lokale ogólnej użyteczności konsumpcyjnej — restauracje „Marusia”, „Przystań” oraz usytuowaną w rynku kawiarnię „Sieradzanka”. Tam też, zależnie od kategorii lokalu, przebywa odpowiednia klientela. Zakładając, że rodzice nie wręczają pochopnie swym dzieciom większych pieniędzy, że pierwsza praca nie przynosi wygórowanych pensji, i że źródłem nie jest czyn nielegalny — można nastolatków wyeliminować z grona stałych i częstych klientów wspomnianych lokali. Wieg gdzie? Można w Domu Kultury kleić modele samolotów, można w klubie karate potrenować, pod warunkiem, że rozumie się istotę rzeczy, bo inaczej trener przegania miłośników niezawodnych ciosów w ulicznych bójkach, można w klubie żeglarskim zdobywać kolejne uprawnienia.

Zapytany o propozycje dla młodzieży tow. Sośnicki — sekretarz KW i instruktor harcerski ponadto — powiada, że jeśli ktoś chce coś robić z pożytkiem dla siebie i innych, zawsze i wszędzie, nawet w Sieradzu, znajdzie dla siebie poletko do wyżycia się. A jak nie chce, to święty Boże nie pomoże.

Tow. Sośnicki rozumie, że władza ma tu szczególnie delikatne zadanie. Nie można dyktować i nakazywać młodzieży, którzy ma iść. Nie można za nią i w jej imieniu załatwiać, organizować i w ogóle myśleć. Wszędzie tam, gdzie młodzi sami coś robią, trzeba ich wesprzeć. Był Zespół Koordynacyjny do spraw Młodzieży przy prezydencie miasta. Powstał z inicjatywy energicznych licealistów, pracowało w nim sporo nauczycieli i instruktorów harcerskich. Zdawało się, że młodzi wreszcie będą mieć forum dla swych spraw, ścieżkę do władzy... Ale rozlało się w szwach, młodym się odechciało. Tow. Sośnicki uważa, że młodzi jakby przestali lubić żyć. Nic ich nie interesuje, na nic nie mają ochoty, nie chce im się chcieć. Ale żadna władza nie może się bezczynnie przyglądać, jak smarkateria dla szpanu, z nudów i głupoty, zaczyna gustować w kompanie z makowim. Jeśli więc młodym się nie chce, to komu ma się chcieć? Jak długo można się szarpać i organizować, a to koncert a to przyjazd teatru, a to wystawa, a to znowu coś innego. A potem przyjdzie 20 osób i wstyd, i zaraz mówią, że ludzie w Sieradzu nie nauczyli korzystania z dóbr duchowych. Więc po co, dla kogo?

Dziewczyna po drugiej stronie stolika ciągnie jakąś lemoniadę i wzdycha, że nudno. Pójść nie ma gdzie i za co, zabawić się nie ma jak. Zostaje tylko na pociechę kawiarenka w „Dworku Modrzewiowym”. Przytulnie tu, jest dobra muzyka, a szef interesu pilnuje, żeby człowiek kuflem albo złym słowem nie dostał. Bardzo kosztowne i jeszcze bardziej wykinwne alkohole automatycznie selekcionują klientelę. Kogo stać na kieliszek burbona za pięć setek? Za to klimat jest z zachodnim sznytem, zapomnieć można na chwilkę o wszystkim. Chłopak spod ściany wtrąca... że przynajmniej tu człowieka nikt nie ustawia, nie wychowuje, nie zakłada drętwej mowy... Ażyl mają w „Dworku Modrzewiowym”.

Dobrze, że jest takie miejsce, bo na herbatę czy lemoniadę stać każdego, a przynajmniej młodzi nie muszą szwendać się między poprzednimi knajpami... tylko nudno jakoś... Uciekają młodzi od wszelkich formalnych organizacji i imprez, nie lubią chcieć i nudzą się. Marzą o wielkim świecie i wielkiej forsie, a ulubiony model życia to pić drogie alkohole, jeździć kosztownym samochodem i nie nie robić. Starzy są w tym jacyś zgrzybiali, są tacy, jak domy, z których wyszli, jak środowisko, w którym wzrosli. Nie nauczeni kłopotać się o cokolwiek, nawykli do zadań, nie umiejący, poza pieniądzem, dostrzec radości bycia młodym. Nie wszyscy przecie tak żyją, wielu ich rówieśników czegoś chce, o coś zabiega, na czymś im zależy. Ale widać, niestety, na ulicach młodzieńców, którym się szczydzą od ziewania z nudów.

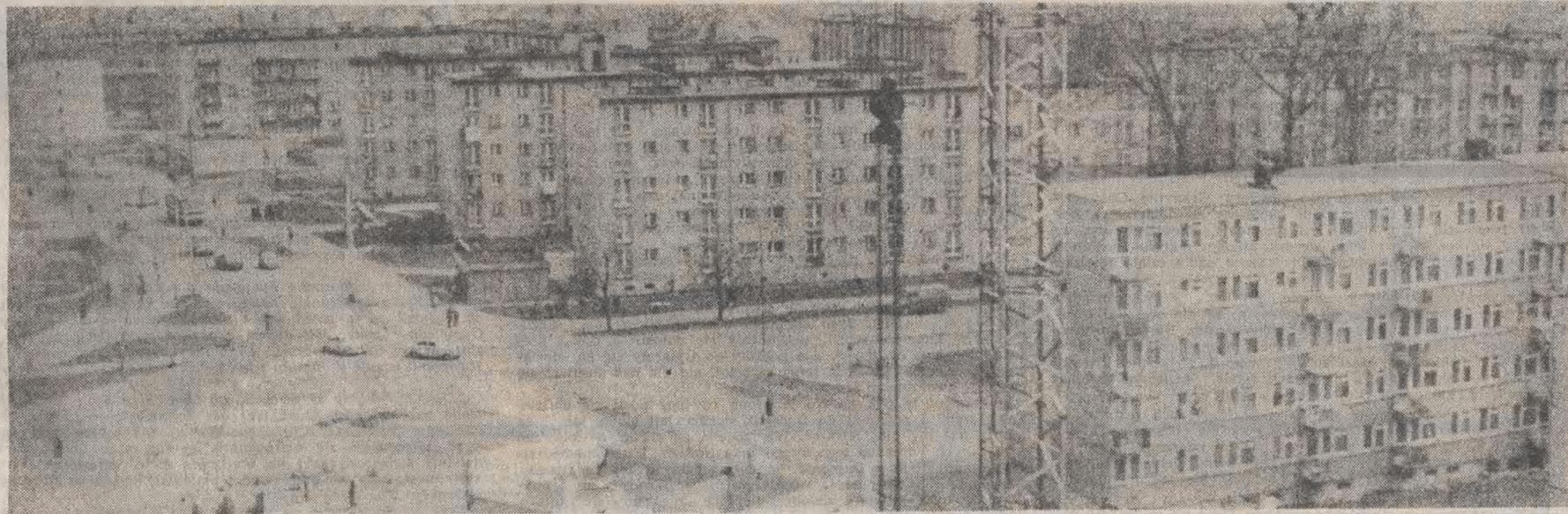


Foto: Miroslaw Zajdler

Wynieśliśmy ciało Grafa Nordena na zewnątrz, w listopadową noc, pod gwiazdy, które świeciły straszliwym blaskiem i pojechaliśmy jak obłąkami górską drogą pod górę. Ciało to trzeba było zniszczyć z powodu oczu, które nie chciały się zamknąć i zdawały się wpatrywać w jakiś obiekt poza obserwatorami; ciało, które było całkowicie pozbawione krwi bez najmniejszego śladu rany; ciało pokryte świeżymi plamami i wzorami, które przesuwały się i zmieniały przed oczyma patrzącego. Wepchnęliśmy to, co było Grafem Nordenem ciasno do kierownicy, umieszciliśmy przewoźniczy zapalnik w zbiorniku z paliwem, zapaliliśmy go i zepchnęliśmy samochód poza pobocze, skąd runął pionowo w dół na główną szosę — płonący meteor.

Dopiero następnego dnia zdaliśmy sobie sprawę, że działaliśmy pod wpływem czarów Dureena — nawet ja o tym zapomniałem. Jakże inaczej moglibyśmy działać tak pospiesznie? Od momentu, gdy światło znów się zapaliło i ujrzelśmy to, co jeszcze przed chwilą było Grafem Nordenem, byliśmy wszyscy niczym mgliste, niewyraźne postacie poruszające się jak we śnie. Zapomniałszy o wszystkim z wyjątkiem ciężających na nas nie wypowiedzianych rozkazów, gdy tak patrzyliśmy na płonący samochód uderzający o bruk w dole, obserwowaliśmy jego zniszczenie, a potem posłusznie udaliśmy się każdy do swojego domu. Kiedy następnego dnia częściowo odzyskaliśmy pamięć i szukaliśmy Dureena — nie było go. I ponieważ ceniliśmy swoją wolność, nie powiedzieliśmy nikomu o tym, co się wydarzyło, ani nie staraliśmy się dowiedzieć jak zniknął Dureen. Chcieliśmy tylko zapomnieć.

Sądzę, że prawdopodobnie zapomniałbym o tym, gdybym nie zajął ponownie do Pieśni Yste. Jeżeli chodzi o pozostałych, to coraz bardziej narastała w nich tendencja, by traktować to wszystko jako złudzenie, ale ja nie mogłem. Co innego jest czytać o księżkach jak Necronomicon, Księga Eibonu czy Pieśń Yste, a całkiem co innego, gdy czyjes własne przeżycia potwierdzają pewne zawarte w nich rzeczy. Znalazłem jeden taki fragment w Pieśni Yste i nie czytałem dalej. Książka ta razem z innymi księżkami Nordena, znajduje się ciągle na mojej półce. Nie spałem jej, ale nie sądzę, żebym miał przeczytać więcej...

Poznałem Grafa Nordena w 1938 roku, na Uniwersytecie w Darwich, w klasie historii średniowiecznej i wczesnorennesansowej doktora Helda, zajmującej się właśnie studiami nad mistycyzmem i okultyzmem.

Norden bardzo się tym interesował. Przeprowadził sporo badań nad wiedzą okultystyczną; zafascynowany był zwłaszcza piśmiennymi i dokumentami rodziny adeptów okultyzmu nazwiskiem Dirka, którzy wywodzili swój ród z czasów przedlodowcowych. Oni to, Dirkowie, przetłumaczyli Pieśń Yste z jej postaci legendarnej na trzy języki wczesnych kultur, a następnie na grecki, łacine, arabski i średnioangielski.

Powiedziałem Nordenowi, że boleję nad ślepa pogardą, w jakiej świat nauki okultystycznej, ale sam nigdy nie wnikałem w ten temat zbyt głęboko. Wystarczyło mi być widzem, poznać swojej wyobraźni dryfować do woli z prądem tej ciemnej rzeki, ślizgać się po powierzchni wody — z rzadka tylko dawałem nurka w głębinę. Jako poeta i marzyciel dbałem o to, by nie zatracić się w ciemnościach głębi, nad którą igrałem, żeby móc zawsze wynurzyć się i znaleźć spokojne, niebieskie niebo i świat, który o niczym nie wiedział.

Inaczej było z Nordenem. Powiedział mi, że zaczyna miewać wątpliwości. Droga, którą obrał, nie jest łatwa; czają się na niej straszliwe niebezpieczeństwa, ukryte wzdłuż całej drogi, często tak, że podróżnik nie zdaje sobie z nich sprawy aż dopiero, gdy jest już za późno. Ludzie znajdujący się dopiero na początku drogi ewolucji; ciągle jeszcze młodzi ich brak wiedzy, jako ludzkości, przemawia przeciwko tym nieludzkim spośród nich, którzy starają się przekroczyć granice nieznanego.

Mówił o wysłannikach spoza Ziemi i odwoływał się do tajemniczych ustępów w Necronomiconie i Pieśni Yste. Mówił o obcych istotach, istnieniach przerażająco nieludzkich, niemożliwych do określenia żadną ludzką miarą, których ludzkość nie jest w stanie skutecznie zwalczyć.

Dureen pojawił się mniej więcej w tym samym czasie. Wszedł któregoś dnia do sali podczas trwania wykładu; później dr Held przedstawił go jako nowego członka grupy przybywającej zza granicy. Było w nim coś, co z miejsca wzbudziło moje zainteresowanie. Nie potrafiłem określić jakiej mógł być rasy czy narodowości — był prawie piękny, każdy jego ruch pełen był wdzięku i rytmu. Ale w żadnym razie nie można go było uważać za zniewieściatego.

To, że większość z nas go unikała, wcale go nie martwiło. Jeżeli chodzi o mnie, to wydawał mi się nieszczerzy, ale pozostałych odstraszał prawdopodobnie jego całkowity brak okazywania jakichkolwiek emocji. Zdarzyło się na przykład, że kiedyś w laboratorium próbowałam przysięgnąć mu się prosto w twarz tak, że kilka odłamków utknęło głęboko w skórę. Nie okazał wtedy nawet najmniejszego śladu niepokoju, machnięciem ręki zbył oznaki troski ze strony niektórych dziewcząt i powrócił do wykonywania doświadczenia, gdy tylko lekarz skończył opatrunki.

Końcowy akt rozpoczął się, gdy któregoś popołudnia zajmowaliśmy się sugestią i hipnotyzmem, i dyskutowaliśmy nad praktycznymi możliwościami tych zjawisk. Colby przedstawił najbardziej pomysłowy argument przeciwko takim możliwościom, osmieszył próby łączenia z sugestią doświadczeń nad przekazywaniem myśli i telepatią i zakończył ostatecznym wnioskiem, że hipnotyzm (z wyjątkiem mechanicznych środków indukcyjnych) nie jest możliwy.

Wtedy właśnie przemówił Dureen. Nie pamiętam tego co powiedział, ale skończyło się na bezpośrednim wyzwaniu pod adresem Dureena, aby udowodnił swoje twierdzenia. Norden nie powiedział nic w trakcie trwania tej debaty; wydawał się jakiś błąd i zauważyłem, że usiłował przekazać Colby'emu ostrzegawczy znak.

Było nas u Nordena pięciu tego wieczoru: Granville, Chalmers, Colby, Norden i ja. Norden palił papierosa za papierosem, obgryzał paznokcie i mamrotał coś do siebie. Podejrzewałem, że wydarzy się coś niezwykłego, ale nie miałem pojęcia co. Potem przyszedł Dureen i rozmowa, jeśli taka w ogóle miała miejsce, urwała się.

Colby powtórzył swoje wyzwanie, mówiąc, że przyprowadził resztę jako świadków, żeby być pewnym, że nie zostanie oszukany przy pomocy jakichś sztuczek scenicznych. Nie wolno używać luster, światła ani żadnych innych mechanicznych środków wywoływania hipnozy. Musi to być tylko i wyłącznie kwestia woli. Dureen skinął głową na znak zgody, zaciągnął zaslone, odwrócił się i skierował swój wzrok na Colby'ego.

Patrzyliśmy spodziewając się, że zrobi jakiś ruch rękoma i wypowie polecenia — nie takiego jednak nie uczynił. Utkwił wzrok na Colbym, który zesztywniał, jakby uderzony piorunem i następnie, z oczyma wpatrzonymi tępo przed siebie, wstał powoli i stanął na wąskim czarnym szlaku biegnącym ukośnie przez środek dywanu.

Wróciłem myślą do dnia, gdy zastałem Nordena w trakcie niszczenia pewnych papierów i aparatu, którego budowa, przy której pomagałem mu w miarę swoich możliwości, trwała kilka miesięcy. Jego oczy były straszne i widać w nich było wątpie-

nie. Niedługo po tym wydarzeniu pojawił się Dureen — zastanawiałem się, czy jedno z drugim miało jakiś związek.

Moje zamyslenie zostało raptownie przerwane głosem Dureena nakazującym Colby'emu powiedzieć nam gdzie jest i co widzi wokół siebie. Kiedy Colby przemówił, wydawało się, że jego głos dochodzi do nas z bardzo daleka.

Powiedział, że stoi na wąskim moście wznoszącym się ponad straszliwą otchłanią tak rozległą i głęboką, że nie mógł dostrzec ani jej dna, ani granic. Poza nim most ciągnął się daleko i gubił w niebieskawej mgie. Przed nim biegł w kierunku czegoś, co wydawało się być płaskowyzem. Wahał się przed zrobieniem ja-

ROBERT A. W. LOWNDES

## Otchlań

kiegoś ruchu, bo droga była bardzo wąska, z drugiej strony zdawał sobie sprawę, że musi dążyć w kierunku płaskowyzu zanim sam widok znajdujących się pod nim głębin sprawi, że straci równowagę. Czuł się dziwnie ocieślały i mówił w wysiłkiem.

Gdy głos Colby'ego zamilkł, wszyscy wpatrywaliśmy się zafascynowani w wąski, czarny szlak na niebieskim dywanie. A więc to był ten most ponad otchłanią... ale co mogło dawać wrażenie otchłani? Dlaczego jego głos wydawał się taki odległy? Dlaczego czuł się ocieślały? Płaskowyz musiał być biurkiem stojącym w drugim końcu pokoju: dywan dochodził do czegoś w rodzaju podium, wywyższenia, na którym stało biurko Nordena, jego blat znajdował się na wysokości około 7 stóp ponad podłogą. Teraz Colby zaczął powoli iść wzdłuż czarnego pasa, poruszał się jakby z największą ostrożnością, wyglądał jak na filmie puszczonym w zwolnionym tempie. Jego ruchy były ościeślałe; oddychał szybko.

Dureen kazał mu się zatrzymać, uważnie przyjrzeć otchłani i powiedzieć nam co w niej widzi. Na te słowa znów przyjrzelśmy się dokładnie dywanowi, jak byśmy nie widzieli go nigdy przedtem i nie wiedzieli, że był całkowicie pozbawiony ozdób z wyjątkiem czarnego szlaku, na którym teraz stał Colby. Znowu doszedł nas jego głos. Najpierw powiedział, że nie widzi nic w otchłani poniżej. Potem gwałtownie wciągnął powie-



Rys. Katarzyna Raczkowska

trze, zachwiał się i niemal stracił równowagę. Na jego czole i szyi widać było pot wsiąkający w niebieską koszulę. W otchłani coś jest, powiedział ochryplym głosem, wielkie kształty wyglądające jak plamy absolutnej czerni, wiedział jednak, że są one żywe. Dostrzegł, że ze swej centralnej masy stworzenia te wyrzucały do przodu niewiarygodnie długie, nitkowate macki. Poruszały się w przód i w tył — poziomo, sprawiały wrażenie, że nie potrafią poruszać się pionowo.

Ale nie wszystkie znajdowały się na tej samej płaszczyźnie. Naprawdę ich ruchy były poziome tylko w stosunku do ich pozycji, ale niektóre poruszały się równoległe do niego, inne zaś ukośnie. Daleko mógł dostrzec stworzenia prostopadłe do niego. Okazało się, że było tych stworzeń o wiele więcej niż sądził. Pierwsze, które zauważył, znajdowały się daleko w dole, nieświadome jego obecności. Ale poczuły go i starły się go dosięgnąć. Powiedział, że idzie teraz szybciej, ale ona nas posuwał się ciągle w zwolnionym tempie.

Spojrzałem w bok na Nordena; on również pocił się obficie. Teraz wstał i podszedł do Dureena, rozmawiali cicho, tak, że nikt z nas nie mógł słyszeć. Wiedzieliśmy, że chodzi o Colby'ego i że Dureen odmawia tego, czego żąda Norden. Wtem momentalnie zapomniałem o Dureenie, bo usłyszeliśmy drżący ze strachu głos Colby'ego. Stworzenia sięgały po niego. Wznosiły się i opadały dookoła; niektóre daleko; niektóre niesamowicie blisko. Żadne z nich nie znalazło tej konkretnej płaszczyzny, na której mogłyby go schwytać. Błyskawicznie wyrzucane macki nie sięgały go, ale był pewien, że teraz już wszystkie istoty czuły jego obecność. Obawiał się, że potrafią one zmieniać płaszczyznę

ruchu zgodnie ze swoją wolą, ale okazało się, że czynią to na oślep, zupełnie jak istoty dwuwymiarowe. Wyrzucane w niego macki były włóknkami absolutnej czerni.

Straszliwe podejrzenie powstało we mnie, gdy przywołałem w pamięć niektóre wcześniejsze rozmowy z Nordenem i przypomniałem sobie pewne fragmenty Pieśni Yste. Usiłowałem wstać, ale nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Mogłem tylko bezradnie siedzieć i patrzeć. Norden wciąż jeszcze rozmawiał z Dureenem i zauważyłem, że był bardzo błąd. Wydawał się jakby kuryżer — wtem odwrócił się i podszedł do szafki, wyjął z niej jakiś przedmiot i stanął na czarnym pasku dywanu, na którym znajdował się Colby. Norden skinął Dureenowi głową i zobaczyłem teraz przedmiot, który trzymał w ręce: wielościan wyglądający jak szklany. Był w nim jednak blask, który mnie zaniepokoił. Rozpaczliwie starałem się sobie przypomnieć znaczenie tego przedmiotu — wiedziałem, że ma on jakieś znaczenie — ale w moich myślach zaszło jak gdyby krótkie spieczęcie i kiedy spojrzałem na mnie wzrok Dureena, miałem wrażenie, że cały pokój się chwile-

Ustyszeliśmy głos Colby'ego, tym razem rozpaczliwy. Bał się, że nigdy nie osiągnie płaszczyzny (znajdował się teraz w odległości półtora jarda od końca czarnego szlaku i podwyższenia, na którym stało biurko Nordena). Stworzenia, powiedział Colby, są już bardzo blisko. Właśnie uniknął dotknięcia przez masę nitkowatych macek.

Teraz usłyszeliśmy głos Nordena; on również wydawał się dobiegać z daleka. Wymówił moje imię. Powiedział, że to, co się dzieje, to więcej niż hipnotyzm. To jest — ale jego głos przycichł i poczułem, że to moc Dureena spowodowała wyciszenie jego głosu. Raz po raz zdolałem usłyszeć zdanie lub kilka oderwanych słów, ale na ich podstawie mogłem wyrobić sobie pewne niejasne pojęcie o tym, co się działo.

Była to w rzeczywistości transwymiarowa podróż. Wyobrażał mi sobie tylko, że widzimy Nordena i Colby'ego stojących na dywanie — a może działo się to wszystko pod wpływem Dureena.

Ten bezmienny wymiar był miejscem zamieszkania owych stworzeń-cieni. Otchlań i most, na którym stało tych dwoje, były złudzeniami stworzonymi przez Dureena. Kiedy skończył się to, co sobie zaplanował Dureen, nasze mózgi zostaną przebadane, a pamięć tak zmieniona, że będziemy pamiętać nie więcej niż to, co Dureen życzył sobie, żebyśmy pamiętali. Norden zdolał wymusić na Dureenie pewien układ, którego będzie musiał dotrzymać. Jeżeli tych dwoje osiągnie płaszczyznę, zanim stworzenia-cienie dotkną ich, wszystko skończy się dobrze. Jeżeli nie — Norden nie sprzecywał, ale dał do zrozumienia, że stworzenia polują na nich tak, jak człowiek poluje na zwierzyne. Wielościan zawierał jakiś element odstraszcający je.

Norden znajdował się z tyłu, tuż za Colbym. Widzieliśmy, że celował w coś wielościanem. Colby odezwał się znów mówiąc, że pojawił się za nim Norden i że przyniósł pewien rodzaj broni, przy pomocy której można było to stworzenie odstraszyć.

Następnie Norden zawołał mnie prosząc żebym zaopiekował się jego rzeczami, gdyby nie wrócił i sprawdził hasło „adumbrali” w Pieśni Yste. Powoli on i Colby zbliżali się w stronę podium i biurka. Colby był tylko kilka kroków przed Nordenem. Wszedł na podwyższenie i z jego pomocą usiadł na biurku. Starał się pomóc Nordenowi, ale kiedy ten wspiął się na podwyższenie, nagle zeszytniał i wielościan wypadł mu z rąk. Usiłował rozpaczliwie podciągnąć się w górę, ale został pociągnięty w dół i wiedzieliśmy, że jest stracony.

Doszedł nas pojedynczy jęk, a potem światła w pokoju przybladły i zgasły. Jakkolwiek rzucony na nas urok przestał już działać. Biegaliśmy jak opętani usiłując znaleźć Nordena, Colby'ego i wiaćnik światła. Nagle światło zapaliło się znów i ujrzelśmy oszalonego Colby'ego siedzącego na biurku i leżącego na podłodze Nordena. Chalmers pochylił się nad ciałem, starając się przywrócić je do życia, ale kiedy zobaczył stan szczątków Nordena dostał histerii i, żeby go uspokoić, uderzył go tak, że stracił przytomność.

Colby siedzi za nami najwyraźniej nie zdając sobie sprawy z tego, co się dzieje. Wynieśliśmy ciało Grafa Nordena na zewnątrz, w listopadową noc i zniszczyliśmy je przy pomocy ognia, mówiąc potem Colby'emu, że prawdopodobnie Norden dostał ataku serca, kiedy prowadził samochód po górskiej drodze; samochód spadł, a jego ciało spłonęło w pożodze.

Później Chalmers, Granville i ja spotkaliśmy się, żeby wytłumaczyć sobie to, cośmy widzieli i słyszeli. Chalmers, po odzyskaniu przytomności, zachowywał się normalnie, pomógł nam w uporządkowaniu wypadku Nordena. Zaden z nich, jak się zorientowałem, nie słyszał głosu Nordena po tym, jak przyłączył się on do Colby'ego w rzekomym stanie zahipnotyzowania. Nie widzieli również, że Norden trzymał coś w ręce.

Ale przed upływem tygodnia nawet te wspomnienia przysgasy. Wierzyliśmy głęboko, że Norden zginął w wypadku, który wydarzył się po nieudanej próbie Dureena zahipnotyzowania Colby'ego. Przedtem uważaliśmy, że to Dureen zabił Nordena z nieznanego powodów i że byliśmy jego mimowolnymi współnikami. Eksperyment z hipnotyzmem był tylko pretekstem, by zgromadzić nas wszystkich i przygotować sposób pozbycia się ciała. Wówczas nie wątpili, że Dureenowi udało się nas zahipnotyzować.

Nie było najmniejszego sensu mówić im o tym, czego dowiedziałem się kilka dni później z notatek Nordena wyjaśniających przybycie Dureena, albo przytaczać fragmenty Pieśni Yste przełożone na angielski.

„...są to właśnie adumbrali, żyjące cienie, istoty o niewiarygodnej mocy i złośliwości, które żyją poza przestrzenią i czasem takimi, jakie my znamy. Ich rozrywkę stanowi sprowadzanie do swojej krainy mieszkańców innych wymiarów, na których świecą swoje niesamowite figle i których poddają rozmaitym złudzeniom...”

„...Ale, jeszcze gorsi są ich wysłannicy kierowani do innych światów i wymiarów, istoty, które sami stworzyli i którym nadali kształty tych, którzy zamieszkują w tym wymiarze, czy na tym świecie, do którego wysłannicy ci mają się udać...”

„...Tacy wysłannicy mogą zostać rozpoznani tylko przez adepta, dla którego ich zbytnia perfekcja kształtu i ruchów, ich wyobcowanie, aura alienacji i siły stanowią widomy znak...”

„...Mędrzec Jhalkanaan opowiada o jednym z takich wysłanników, który tak zdolał zwieść siedmiu kapitanów Nyaghoggu, że wyczuł go na pojedynkę o pierwszeństwo w sztuce hipnozy. Opowiada również jak dwóch z nich zostało porwanych i dostarczonych do adumbrali, ich ciała zostały zwrócone, gdy stworzenia-cienie skończyły z nimi...”

„...Najdziwniejszy ze wszystkich był stan tych ciał, całkowicie pozbawionych krwi, lecz bez najmniejszego śladu rany. Ale najokropniejsze były oczy, których nie można było zamknąć, wpatrujące się niespokojnie w dal, poza obserwatora i dziwnie śliczące znaki na martwym ciele, dziwne wzory, które wydawały się przesuwać i zmieniać kształt przed oczyma patrzącego...”

Tłum.: WIESŁAWA SZYJA

# 1

## Lewym okiem

### Historia to zbiorowa psychoza...?

Czytałem kiedyś o eksperymencie, jaki przeprowadził uczeni badający psychikę ludzką: dali się zamknąć w zakładzie dla umysłowo chorych i poddali się wszelkim supernowoczesnym badaniom. Było ich kilkunastu. Zaden nie został uznany za zdrowego psychicznie, normalnego człowieka.

Wnioskłem płynącym z tego doświadczenia może być stwierdzenie, że obiektywne, kategoryczne kryterium normalności w ogóle nie istnieje, ale można też przyjąć, że naprawdę wszyscy dostali poleźnego hysia i cały świat kręcił się na wariackich papierach.

Co dzień czterdzieści tysięcy dzieci ginie na świecie z głodu. Jednocześnie rząd Stanów Zjednoczonych płaci wysokie premie farmerom, jeśli zoowiążą się nie obsiewać swych pól. Ten sam rząd rozdaje swym obywatelom bezpłatnie wielkie ilości masła i serow, chcąc chociaż częściowo rodować nekające w szwach magazynu i — jak czytamy — za mało zgłęza się chętnych. Ten sam rząd odmawia zgody na sprzedaż żywności za granicę. Paranoja!

Kiedyś już tak było — za czasów największego w historii kryzysu, w latach trzydziestych, Tadeusz Boy-Zeleniński pisał wówczas o tysiącach ton dowolnych ryb, które — dla utrzymania ceny — przeznaczono na nawóz; na tym rybnym nawozie wyrosło piękne zboże, które — dla utrzymania ceny — utopiono w morzu; na utopionym zbożu wyrosły tysiące ton ryb, które złowiono i przeznaczono na nawóz... i tak dalej. Oczywiście, dzieci śniacze z głodu było wówczas więcej niż dzisiaj. W Brazylii opalano parowozowy kawa — pamiętam zdjęcie, na którym uśmiechnięci (bo mieli właśnie zatrudnienie) robotnicy wysypywali worki ziarna do kolejowych węgarek. Ale musiał być zapach na trasach tych pociągów! Dom wariatów!

W „Polityce” możemy sobie przeczytać, jak będzie wyglądał świat, gdy wybuchnie atomowa „konfrontacja”. Pisze w trybie oznajmującym: „gdy wybuchnie”, a nie w trybie warunkowym: „gdyby wybuchła”, bo tak nastąpił mój autor artykułu pt. „Fragment końca świata” Adam Krzeminski (nie krewny, a szkoda, bo to świetny publicysta). Pisze mianowicie: „Dzisiejsza machina zagłady osiągnęła zdolność kilkakrotne go zniszczenia życia, i z rachunku prawdopodobieństwa wynika, że do niego dojdzie jeśli nie za rok, to za dziesięć, dwadzieścia, sto”.

Weale przy tym nie jest podczyszczającym fakt, że — jak myśle — nie dojdzie do zniszczenia ludzkości. Ludzkość to ponad 6 miliardów ludzi, a „wymiana ciosów atomowych” nieciągnie za sobą śmierć — lu? Trzystu, czterystu milionów? To jest zaledwie czterdzieli procent naturalny. Czy przed czterema laty było tak bardzo luźniej niż dziś? To jest właśnie najbardziej przerażające: ten miliardowy piasek ludzi w którym można mieszac i nie bezczac na miliony setki milionów niewyobraźalnych jednostkowych tragedii Zniszczona zostanie cała Europa a w Afryce i Australii będzie się o tym zwyciężnie czytać w gazetach, tak jak my czytaliśmy o Hiroszimie.

Wojny prowadzone są — jak wiadomo — celem utrzymania pokoju, wyzwolenia narodów z

niewoli lub obrony przed napaścią. W 1928 r. (sic!) wyszła w Anglii książka Kenworthy'ego pt. „Czy ewilizacja rozyspie się w gruz”, w której autor zestawil wiele różnych „możliwych wojen” i udowodnił, że w każdej z nich każda ze stron miałaby prawo uważac się za napadnięta. Wśród hipotetycznych przykładów wymienił m.in. wojne Stanów Zjednoczonych z Anglią. „Nie było jeszcze nigdy wojny o co innego — pisał Paweł Hulka-Laskowski (Wiad. Literackie z 23.II.1930 r.) — tylko o pokój. Aleksander Wielki chciał wielkiego pokoju, Napoleon Bonaparte również. Rewolucje czyli wojny domowe, są także tylko walkami o pokój”. „Chrześcijaństwo witał się przepięknym słowem: „Pokój tobie! Pokój wam! Pax vobiscum!” Ale potem burzyli swiętynie pogańskie i biblioteki, a przeciwników swoich zabijali”. „Pokój jednego narodu — cytuję wciąż Paweł Hulka-Laskowski — który nie jest pokojem wszystkich innych narodów jednocześnie, jest wyzaniem, wojną, ogniem i mieczem”. I wreszcie jakże pesymistyczne stwierdzenie tegoż Laskowskiego: „Na historii świata trzeba umieć spojrzeć jako na zbiorową psychozę. Mamy tu do czynienia z tyłoma fobiami, że wojna staje się zrozumiała, gdy spojrzemy na nią jako na wybuch szalu”.

Rzeczywiście — chyba tylko jako wybuch szalu można rozumieć wojnę. Szaleńców znamy niesłety mnóstwo. W swych „Poglądach księdza Hieronima Colgnarda” powiedział przeciw Anaton France.

„Nie ma jednej jedynej epoki w całej przeszłości, gdzie człowiek nie przedstawiały nam się jako głupiec, krzywdziciel i dzikus, dziwnym przyzwoito byto światko, gdyby właśnie nasz wiek posiadał wyłączny przywilej oswoobodzenia się z głupoty, złościwości i brutalności”.

Czy wbrew tym kasandrycznym wizjom uda się trzeciym ludziom powstrzymać lawinę? Bo jeżeli nie trzeźwi ludzie, to kto ma to zrobić?

## WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

### 2 Spojrzeenie znad szachownicy

Jajka jajkami, Kaszak Kaszakiem, domki „Veto” domkami, a należałoby samemu również wnieść jakiś wkład w rozszerzenie powszechnego i jedynej sprawiedliwego losowania na inne rejony życia społecznego.

## Losowanie

Losujemy wszyscy i wszystko, cała ta zabawa, z początku podszycia dreszczykiem emocji, staje się z biegiem czasu coraz mniej śmieszna. Dość dawno rozlosowaliśmy na przykład samochody, również takie, które wyprodukujemy dopiero w odległej przyszłości. Potem przysła koleją na srebrne monety z wizerunkiem papieża z miejsca zyskujące na czarnym rynku około 500 proc wartości.

Nie wylosowałem samochodu, nie wylosowałem monety, zaświeciło jednak słoneczko i na mojej ulicy — podczas kolejnego losowania utrafiłem sześć jajek, podówczas nieoficjalnych na rynku. Miałem brzydki zamiar pospekulować tymi jajkami, zbył długo czekałem jednak na cenową hossę w rezultacie kury podłożyły mi świnię i zaczęły nieść się jak głupie. Mam tedy towar, ale atrakcyjny jedynie w Chinach, gdyż tam z przeleżałych jajek produkują ponoc jakieś kulinarne przysmaki. No dobrze, ale czy z sześcioma jajkami warto mi je hać aż do Chin?

Moda na losowanie objęła nawet zrównoważonych skądinąd

szachistów i to w skali światowej. W ćwierćfinalowym meczu pretendentów eks-mistrz świata Smysłow (ZSRN) zremisował w regulaminowym meczu 2 10 partii 5:5 z Huebnerem (RFN), zawodnikiem o tyle ciekawym, że obok szachów pasjonuje się językoznawstwem, między innymi sanskrytem. Zarządził cztery partie dodatkowe, wszystkie one skończyły się jednak remisowo i wynik brzmiał teraz 7:7.

Co robi sędzia? Sędzia sprawdza jakiś supermaszynny do losowania, ta kręci się, kręci, pomrukuje, postępuje, aż wreszcie wychodzi jej, że w półfinalu grać ma Smysłow. Huebner zaś niech wraca do swojego sanskrytu. No i bardzo słusznie. Smysłow jest bowiem człowiekiem po sześćdziesiątce, dużo młodszy Huebner może więc cierpliwie poczekać.

(Tu ukłony dla kol. Kaszaka z „Przeglądu Tygodniowego”, który zdradził ostatnio, że to on właśnie — myśląc szachową modą cztery ruchy naprzód — odpowiedział wydawcy „Sterna” jak zwiększyć nakład poprzez druk pamiętników Hitlera! Pomysł był, przynajmniej, arcy mistrzowski, zważywszy, że kolego Franciszku, jak sprytnie postawiliśmy na szachy, nie zaś — dajmy na to — na piłkę nożną. Bojka po sześćdziesiątce nie kuni nawet drużyna podwórkowa. Smysłow gra sobie natomiast jak gdyby nigdy nic i jeszcze ma szczęście w losowaniu. A tak a propos: czy nie znacie jakiegoś sposobu na losowanie? Nie to, żeby zaraz oszukiwać, ale coś koło tego.)

Sposób na losowanie byłby się przydał, „Veto” bowiem wpadło na równie szalency, co uroczy w tym szalenstwie pomysły, iżby z niczego — ot po prostu wypuszczając losy gdzieś po 500 złotych sztuka — zacząć wznosić domki jednorodzinne. Domek taki kosztowałby wprawdzie parę milionów, szanse grających nie byłoby więc zbyt wielkie, większe jednak — co „Veto” podkreśla z głęboką słusnością — niż gdybyśmy mieli równowartość losu pogodnie przepić.

Nie bardzo wierzę wprawdzie, iżby rzecz mogła się udać, mimo wszystko najszczęśliwiej żyć powodził. Pewien Japończyk, który wpał na pomysł hodowania sztucznych perł, też uważany był za pomyslna, a proszę — dorobił się takiej fortuny, że pozazdrościł...

## 3 Zdarzenia i zwierzenia

Spotykam nieraz moich bliźnich, „braci w kryzysie” i wstuchuje w pokorze i zadziwienie, jakie to dyrdymały wypowiadają na różne tematy — bardzo złożone i trudne, co do których długo jeszcze nikt nie będzie miał pełnej jasności, bo po prostu wiele czasu musi upłynąć, aby na wiele spraw móc spojrzeć spokojnie i rzeczowo — bez emocji, zacietrzewienia i z pełną wiedzą...

Wielu jednak moich „braci w kryzysie” mówi tak, jakby wiedzieli już dziś wszystko. Przypomina mi się wówczas sentencja starych, mądrych Chińczyków, którzy powiadają: „Jeśli sądzisz, że wiesz wszystko, to oznacza, że zostałeś źle poinformowany”.

Ja natomiast wiem przez kogo moi bliźni zostali poinformowani — na jakim zakresie fał, czyli farbą drukarską odbite są słowa, które ich informują i nawet wiem, jaki jest kolor banknotów za które ta cała działalność informacyjna się odbywa. Wiem zatem niewiele.

I nawet, jeśli wiem, jakie wizerunki prezydentów i królego państwa widnieją na tych banknotach — to przecież nie wlem w szóstki. Nawet psychologizna mechanizmy tego amoku są dla mnie niewiadoma.

Moi bliźni tyle razy — tak różnym ludziom i za cenę tytu różnych złudzeń bili brawa i śnięwali „sto lat”, że dziś stał się to narodowym nawykiem. „Mówię bom grzesznyi sam pełen winy” — jak pisał poeta.

Przypomnijmy bowiem dzieje. Kiedy na początku XVIII wieku Ludwik XV oświadczył, że sprzeciwi jakiegokolwiek państwa wobec wyboru Stanisława Leszczyńskiego na króla Polski (Leszczyński był jego teściem), będzie uważał za wypowiedzenie wojny Francji — cała Warszawa szalała z radości uważając to oświadczenie za... dowód suwerenności Polski.

Kiedy Francuzi przywieźli z Paryża Stanisława Leszczyńskiego w przebraniu kupca i do Sejmu polskiego wprowadził go — tak, tak — francuski poseł w Warszawie. Monti — cała Warszawa wołała: „Independential”, co znaczyło — o ironio! — suwerenność i niezależność. Takimi to ścieżkami chadzało w Polsce pojęcie suwerenności.

A potem kiedy Sejm wybrał Leszczyńskiego i zwała się na Polskę groza wojny — Francuzi nawet palcem nie ruszyli w obronie Polaków... Owszem — Monti przewodził króla do Francji, gdzie monarcha otrzymał dożywotnią rentę w postaci Lotaryngii... A Polska szła ku zagładzie.

Tak oto bywało. I tak bywa, bowiem euforia i zacietrzewienie psują wrokok. Euforia jest rodzajem narkotyku, który działa tym silniej, im głośniej śpiewamy i krzyczymy i im bardziej „klaskaniem” mamy obrzekeć prawie... To cytuję z Norwida.

## 4 Fenomen Seweryna K.

„Oto jest pytanie...”

Spotykam nieraz moich bliźnich, „braci w kryzysie” i wstuchuje w pokorze i zadziwienie, jakie to dyrdymały wypowiadają na różne tematy — bardzo złożone i trudne, co do których długo jeszcze nikt nie będzie miał pełnej jasności, bo po prostu wiele czasu musi upłynąć, aby na wiele spraw móc spojrzeć spokojnie i rzeczowo — bez emocji, zacietrzewienia i z pełną wiedzą...

Wielu jednak moich „braci w kryzysie” mówi tak, jakby wiedzieli już dziś wszystko. Przypomina mi się wówczas sentencja starych, mądrych Chińczyków, którzy powiadają: „Jeśli sądzisz, że wiesz wszystko, to oznacza, że zostałeś źle poinformowany”.

Ja natomiast wiem przez kogo moi bliźni zostali poinformowani — na jakim zakresie fał, czyli farbą drukarską odbite są słowa, które ich informują i nawet wiem, jaki jest kolor banknotów za które ta cała działalność informacyjna się odbywa. Wiem zatem niewiele.

I nawet, jeśli wiem, jakie wizerunki prezydentów i królego państwa widnieją na tych banknotach — to przecież nie wlem w szóstki. Nawet psychologizna mechanizmy tego amoku są dla mnie niewiadoma.

Moi bliźni tyle razy — tak różnym ludziom i za cenę tytu różnych złudzeń bili brawa i śnięwali „sto lat”, że dziś stał się to narodowym nawykiem. „Mówię bom grzesznyi sam pełen winy” — jak pisał poeta.

Przypomnijmy bowiem dzieje. Kiedy na początku XVIII wieku Ludwik XV oświadczył, że sprzeciwi jakiegokolwiek państwa wobec wyboru Stanisława Leszczyńskiego na króla Polski (Leszczyński był jego teściem), będzie uważał za wypowiedzenie wojny Francji — cała Warszawa szalała z radości uważając to oświadczenie za... dowód suwerenności Polski.

Kiedy Francuzi przywieźli z Paryża Stanisława Leszczyńskiego w przebraniu kupca i do Sejmu polskiego wprowadził go — tak, tak — francuski poseł w Warszawie. Monti — cała Warszawa wołała: „Independential”, co znaczyło — o ironio! — suwerenność i niezależność. Takimi to ścieżkami chadzało w Polsce pojęcie suwerenności.

A potem kiedy Sejm wybrał Leszczyńskiego i zwała się na Polskę groza wojny — Francuzi nawet palcem nie ruszyli w obronie Polaków... Owszem — Monti przewodził króla do Francji, gdzie monarcha otrzymał dożywotnią rentę w postaci Lotaryngii... A Polska szła ku zagładzie.

Tak oto bywało. I tak bywa, bowiem euforia i zacietrzewienie psują wrokok. Euforia jest rodzajem narkotyku, który działa tym silniej, im głośniej śpiewamy i krzyczymy i im bardziej „klaskaniem” mamy obrzekeć prawie... To cytuję z Norwida.

A wiersz innego wielkiego polskiego poety Juliusza Słowackiego mówi o tym, że Rodacy idąc wołał: „Polska, Polska!” — a Bóg z moźszewego pokazał się krzaka, sponyżł na tych krzyczących i zapytał: „Jaka?”

No właśnie. „Oto jest pytanie”. To cytuję z innego poety — niepolskiego wprawdzie, ale także wielkiego. A ów poeta — Szekspir oczywiście — postawił przed myślącym, samotnym człowiekiem dylemat: „Być, albo nie być”. Jest to dylemat do rozważenia w samotności — nie w bodeksycytowanym tłumie. W powadze tego pytania milkną brawa, śpiewy i wszelka reżyseria.

## JERZY WILMAŃSKI

„Oto jest pytanie...”

Spotykam nieraz moich bliźnich, „braci w kryzysie” i wstuchuje w pokorze i zadziwienie, jakie to dyrdymały wypowiadają na różne tematy — bardzo złożone i trudne, co do których długo jeszcze nikt nie będzie miał pełnej jasności, bo po prostu wiele czasu musi upłynąć, aby na wiele spraw móc spojrzeć spokojnie i rzeczowo — bez emocji, zacietrzewienia i z pełną wiedzą...

Wielu jednak moich „braci w kryzysie” mówi tak, jakby wiedzieli już dziś wszystko. Przypomina mi się wówczas sentencja starych, mądrych Chińczyków, którzy powiadają: „Jeśli sądzisz, że wiesz wszystko, to oznacza, że zostałeś źle poinformowany”.

Ja natomiast wiem przez kogo moi bliźni zostali poinformowani — na jakim zakresie fał, czyli farbą drukarską odbite są słowa, które ich informują i nawet wiem, jaki jest kolor banknotów za które ta cała działalność informacyjna się odbywa. Wiem zatem niewiele.

I nawet, jeśli wiem, jakie wizerunki prezydentów i królego państwa widnieją na tych banknotach — to przecież nie wlem w szóstki. Nawet psychologizna mechanizmy tego amoku są dla mnie niewiadoma.

Moi bliźni tyle razy — tak różnym ludziom i za cenę tytu różnych złudzeń bili brawa i śnięwali „sto lat”, że dziś stał się to narodowym nawykiem. „Mówię bom grzesznyi sam pełen winy” — jak pisał poeta.

Przypomnijmy bowiem dzieje. Kiedy na początku XVIII wieku Ludwik XV oświadczył, że sprzeciwi jakiegokolwiek państwa wobec wyboru Stanisława Leszczyńskiego na króla Polski (Leszczyński był jego teściem), będzie uważał za wypowiedzenie wojny Francji — cała Warszawa szalała z radości uważając to oświadczenie za... dowód suwerenności Polski.

Kiedy Francuzi przywieźli z Paryża Stanisława Leszczyńskiego w przebraniu kupca i do Sejmu polskiego wprowadził go — tak, tak — francuski poseł w Warszawie. Monti — cała Warszawa wołała: „Independential”, co znaczyło — o ironio! — suwerenność i niezależność. Takimi to ścieżkami chadzało w Polsce pojęcie suwerenności.

A potem kiedy Sejm wybrał Leszczyńskiego i zwała się na Polskę groza wojny — Francuzi nawet palcem nie ruszyli w obronie Polaków... Owszem — Monti przewodził króla do Francji, gdzie monarcha otrzymał dożywotnią rentę w postaci Lotaryngii... A Polska szła ku zagładzie.

Tak oto bywało. I tak bywa, bowiem euforia i zacietrzewienie psują wrokok. Euforia jest rodzajem narkotyku, który działa tym silniej, im głośniej śpiewamy i krzyczymy i im bardziej „klaskaniem” mamy obrzekeć prawie... To cytuję z Norwida.

A wiersz innego wielkiego polskiego poety Juliusza Słowackiego mówi o tym, że Rodacy idąc wołał: „Polska, Polska!” — a Bóg z moźszewego pokazał się krzaka, sponyżł na tych krzyczących i zapytał: „Jaka?”

No właśnie. „Oto jest pytanie”. To cytuję z innego poety — niepolskiego wprawdzie, ale także wielkiego. A ów poeta — Szekspir oczywiście — postawił przed myślącym, samotnym człowiekiem dylemat: „Być, albo nie być”. Jest to dylemat do rozważenia w samotności — nie w bodeksycytowanym tłumie. W powadze tego pytania milkną brawa, śpiewy i wszelka reżyseria.

Na początku lat siedemdziesiątych Krajewski przeniósł się z Sopotu, gdzie dotąd mieszkał, do Warszawy. A właściwie w okolicy stolicy, bowiem kupił niewielki dom w Michalinie. Tutaj objawiła się jego kolejna pasja: postanowił sobie stworzyć domowe studio służące do — przynajmniej roboczych — nagrań. Zaczął kompletować urządzenia, instrumenty, sprzęt. Kierowany przez niego zespół zawiesił działalność — spośród jego członków tylko on jeden, Seweryn, pozostał wierny muzyce. Przesłał wprawdzie występować publicznie na koncertach estradowych, ale nadal komponował, pokazywał się czasami w telewizji, śpiewał swoje nowe piosenki. Większość z nich to nagrania z jego własnego studia. Przed rokiem, po pewnym okresie milczenia, powrócił na listy przebojów. „Papier ścierny”, „Stan podgorączkowy” i nade wszystko motyw przewodni z serialu „Jan Serce” przypomniły o istnieniu Krajewskiego jego dawnym sympatykom i przysporzyły mu nowych wielbicieli.

Dorobek twórczy lidera „Czerwonych Gitar” jest imponujący. Nie starczyłoby miejsca, aby wyliczyć tutaj jego powszechnie znane szlagiery. Nuciłiśmy je wszyscy i wszystko wskazuje na to, że będziemy również podśpiewywać je także w przyszłości. Podczas niedawnego spotkania z kompozytorem dowiedziałem się bowiem, że pracuje on nad nowymi piosenkami.

Znamy się Sewerynem już kilkanaście lat. Napisałiśmy wspólnie parę piosenek, z których jedna była dużym przebojem. Najchętniej pisuje muzykę do gotowego tekstu i — co ostatnio jest rzadkością — stara się zawsze pamiętać, o czym mówią słowa piosenki. Choćby, jak wspomina na początku, odnosiły się do niego samego. To pozwala uniknąć dysonansów, żartywo, a przez to jego utwory stają się krajowymi e-greenami.

Przed miesiącem przeczytałem na łamach „Głosu Robotniczego” (stosunkowo młoda i skądinąd interesująca kolumna „Klubu Hi-Fi”) notkę biograficzną o Sewerynie Krajewskim podpisaną inicjałami B.G. Nieśwety, w krótkim tym artykule autor podał, że Krajewski był założycielem „Czerwonych Gitar”, co jest nieprawdą, jako że grał on początkowo w „Czerwono-Czarnych”, a następnie te zespoły „wymienili się” gitarzystami basowymi (Krajewski, Zomerski). Seweryn nie jest też kompozytorem piosenek: „Niebieskooka” czy „Biały krzyż”. Poza tym znajdujemy tam także kwiatki stylistyczne, jak zdanie: „Posiada niesychaną łatwość komponowania przebojów i prawie każda jego piosenka zyskała dużą popularność, i długo nie schodziła z list przebojów i była śpiewana, co jest osobnym sukcesem kompozytora”. Przy tyłu spójnikach trudno mówić o sukcesie autora tej noty. A jak zrozumieć ten fragment: „Wciąż pozostaje wierny swemu stylowi — lirycznej, sentymentalnej melodyce opartej o przeboj (sic). Styl ten szczególnie łatwo rozpoznać”. Doprawdy, nie wiem. Nie jest również prawdą podany w „Głosie Robotniczym” fakt, że przezycina braku występów estradowych Krajewskiego jest nieistnienie „Czerwonych Gitar”. Jak mówił mi ostatnio Seweryn, powodów jest daleko więcej.

Ganiąc zatem autora B.G. za niedopatrznością, mamy nadzieję, że — mimo zbieżności inicjałów — nie będzie się on w przyszłości wzorował na specjalistach od wywiadów prasowych z gwiazdami. A co za tym idzie: będzie poprawnie pisał słowa i zwroty obcojęzyczne (np. angielskie), ograniczy się do ataków pod adresem właściwych instytucji przedstawiając sprawy w szerszym kontekście, a nade wszystko nie opublikuje rozmów nigdy nie przeprowadzonych.

Wszystko z korzyścią dla naszego B.G. i jego czytelników, nie mówiąc już o skromnej osobie niżej podpisanego.

## KRZYSZTOF DRZEWIĘCKI

**N**a zachodnich zboczach Andów peruwiańscy zubożali chłopcy spędzają swoje dni, grzebiąc w gorącym piachu i szukając tego, co pozostawiło po pochowanych tam przedkach. W niektórych okolicach od 6 lat nie padał deszcz. I tam chłopcy wzięli się do okradania grobów. Dziobła sucha ziemia cienkimi, stalowymi prętami, szukając delikatnych wyrobów garncarskich i wtywnych tkanin — czasem wyszywanych złotem — wykonanych przez rzemieślników z kręgu kultury Nazca, przed 1000 lat.

— Gdyby była woda, uprawiałbym pole — mówi muskularny młodzieniec, opierając się o łopatę. I dodaje: — Tego co robię policja zabrania, ale co można innego zrobić, skoro ani nie ma pieniędzy, ani nie można gospodarzyć na roli.

Ci chłopcy są jedynie pionkami w światowym przemyśle dzieł sztuki, przeważnie starożytnych i w handlu nimi, gdzie obroty sięgają 3 mld dolarów rocznie. Garnki z kręgu kultury Nazca, sprzedawane po 35 dolarów w przepelnionych turystami kawiarniach w pobliżu lotniska Nazca, „pójdą” za setki dolarów w Nowym Jorku czy w Paryżu. Handlarze dziełami sztuki, którzy żerują na ludzkiej biedzie i niewiedzy, wywożą mnóstwo takich staroci do krajów Zachodu, żeby zapokoić upodobania bogatych kolekcjonerów do sztuki prymitywnej, będącej dziś w modzie.

## KAPA Z PIÓR

Pewnego styczniowego ranka 1981 roku w Waszyngtonie urzędnicy celnicy zatrzymali młodego Amerykanina powracającego z Limy, po jednodniowej podróży, z 4 wielkimi walizkami. Kiedy temu człowiekowi — handlarzowi dziełami sztuki, Davidowi Bernsteinowi — kazano otworzyć bagaż, po salce rozpełził się straszliwy fetor. Walizki były wyłożone starożytnymi wyrobami peruwiańskimi. Były tam istne skarby: maska pośmiertna ze złota i srebra, kapa z piór nakładana na zwłoki, srebrne puchary, ceramika, stare tkaniny. David Bernstein zadeklarował, jak opowiada celnicy, wartość tego wyszkiełtego na kwotę 1.875 dolarów. Powiedział, że te rzeczy wydobycy z grobów peruwiańskich. Dr Clifford Evans — dziś już nieżyjący — kustosz zbiorów Smithsonian Institution, którego śladgnięto do oszacowania tych wyrobów, osiupiał.

— Nie mamy niczego porównywalnego w muzeach w Peru — powiedział.

Ta zdobycz, choć tak sensacyjna, była tylko jakby wierzchołkiem góry lodowej. Urzędnicy później skonfiskowali jeszcze 586 peruwiańskich przedmiotów sztuki, znajdujących się w nowojorskim mieszkaniu Davida Bernsteina. Razem te zbiory są warte prawie 1,7 mln dolarów i stanowią centralny element wystawy, którą nazwano: „Skradzione skarby, czyli to, czego nie znamy”, a którą otworzyło w waszyngtońskim Krajowym Towarzystwie Geograficznym. Na ekspozycje składa się 500 wspaniałych przedmiotów sztuki prekolumbijskiej, które w całości pochodzą z konfiskat dokonanych w ostatnich 2 latach przez służbę celną USA. Wystawa objęła całe Stany Zjednoczone. Potem te przedmioty zostaną zwrócone Peru, które traktuje wszystkie wyroby prekolumbijskie jako własność państwa, z mocy prawa.

## USTAWA, KTÓRA JESZCZE NIC NIE ZAŁATWIA

Osobliwość afery Davida Bernsteina sprowadza się do prostu do tego, że go złapano. Potem przyznał się on w końcu do złożenia fałszywej deklaracji władzom celnym USA. Taki postępek kwalifikuje się jedynie jako wykroczenie. Ale coraz większej liczbie handlarzy da się we znaki podjęte przez rząd USA zobowiązanie zwalczania handlu przedmiotami starożytnymi, uchwalone pod naciskiem Peru, Meksyku i innych krajów Ameryki Łacińskiej.

W październiku 1982 roku szef służby celną USA, William von Raab, rozkazał swoim podwładnym, żeby brali do łapczytu wszelkie wyroby prekolumbijskie, których źródło pochodzenia jest niejasne, i żeby w ten sposób państwu latynoamerykańskiemu dać szansę na zgłoszenie roszczeń. Za kilka tygodni Stany Zjednoczone zaczęły wprowadzać w życie konwencje, uchwaloną przez UNESCO i zakazującą importu

przedmiotów sztuki, dla których brak przepisowego zezwolenia wywozowego. Dotychczas konwencje ratyfikowało 50 krajów III Świata, przeważnie małych, ale obfitujących w starożytności. Stany Zjednoczone są jedynym wielkim importerem dzieł sztuki, który przystał na ową konwencję i przeprowadził u siebie odpowiednią ustawę. Ale ustawa dopóty nie będzie miała pełnego znaczenia, dopóki inne kraje Zachodu nie ratyfikują konwencji UNESCO. A na to raczej wcale się nie zanosi.

## ŁAPÓWKI

W minionym dziesięcioleciu wiele krajów III Świata uchwaliło ustawy ograniczające wywóz przedmiotów sztuki, świadczących o dziejach kultury, lub zakazało go zupełnie. Jednak trudności rozprawienia się z nielegalnym handlem są przegromne. W Indiach od 1977 do 1979 roku zarejestrowano 3.000 kradzieży przedmiotów pochodzących z czasów starożytnych, ale jedynie w 10 przypadkach wykryto sprawców. Od 1974 roku, tj. od czasu uchwalenia w Nigerii ustawy o spuściźnie narodowej, wydano wyroki tylko w 6 sprawach. Celnicy często nie mogą odróżnić starego pucharu od kubka, który ma ten czy inny turysta. Podobnie, jak naiwny podróżnik po Afryce nie może rozpoznać na bazarze, czy ma przed sobą prawdziwe starocie, czy imitację. W wielu krajach strażnicy graniczni i dozorczy świątyn są skorzy do brania łapówek. W Mali, muzeum narodowe, które utrzymuje się z niewymownie niskiego budżetu... 3.000 dolarów rocznie, ekspozuje tylko 6 terakotowych figurzek ludzkich i zwierzęcych. Setki takich figurzek, pochodzących z wieków od IX do XVII, zostało przemyconych za granicę. Przemysł — często rodzący się z nędzy i potrzeby — zaczyna się na samym dole drabiny ekonomicznej.

W Kolumbii 60.000 „huaqueros” — tak nazywa się ludzi okradających groby — po części utrzymuje się z tego procederu. Często mają oni oparcie u bogatych handlarzy. Inni sprzedają starożytne przedmioty sami, przy czym jako miejsce tego nielegalnego handlu obierają sobie nędzne hotele Bogoty.

Niemal po drugiej stronie świata — na Wybrzeżu Kości Słoniowej i w sąsiednich państwach afrykańskich, wysłannicy dobrze zorganizowanej szałki handlarzy wędrują od wsł do wsł, wymieniając garnki emaliowane, maczety i odzież z przedmiotów sztuki. W Zairze jest handlarz, który swoim szperaczom pokazuje fotografie rzeczy, jakie chce, i mówi: — Znajdźcie mi coś takiego.

Hen, daleko w buszu można natrafić na wyswiechtane od użycia katalogi aukcji wyrobów artystycznych. W północnej Tajlandii odkryto w połowie lat sześćdziesiątych w Ban Chiang wyjątkowo bogaty teren znalezisk archeologicznych, który ukazał, że 4.000 lat temu istniała tam kultura cechująca się tym, iż należą do niej ludzie sami wykuli narzędzia. Odkrycie spowodowało zmianę panującego dotychczas poglądu, jakoby rzeczy wówczas technicznie zaawansowane sprowadzano z Chin czy Indii. Ale zanim archeolodzy zdolali całkowicie zbadać ten obszar, pewna bogata matrona w Bangkoku dowiedziała się, że na wykopalisku jest piękna, naladowana czerwienią żółtawobrazowa ceramika. Pojechała na miejsce, załadowała 100 skrup do samochodu i zapoczątkowała w stolicy Tajlandii taki szal mody na tę ceramikę, że miejscowi chłopcy gorączkowo wzięli się do ograbiania i niszczenia ruin.

## TECHNIKA I RABUSIE

Niektórzy rabusie używają klasycznych metod archeologicznych. Np. piłą elektryczną wycinają trójkąt w wierzchołku jakiejś piramidy Maiów, żeby dostać się do środka. Inni, których jest dużo więcej, są prymitywni i niedbali. Ich kilofy i łopaty miażdżą delikatną ceramikę i zostawiają takie wyrwy w ziemi, że wygląda jak po nalocie bombowca. Rabusie „huaqueros” są czasem wyposażeni w motorówki, lekkie samoloty i nawet w sprzęt dla pletwonurków. Grabieżcy często naimują sobie archeologów do roboty. Są to m.in. tacy asystenci archeologa, którzy wertują czasopisma naukowe, poszukując wiadomości o nowych terenach wykopaliskowych. Inni po prostu podążają

# Miliony dolarów z pustynnych piasków i buszu

trop w trop za uczciwymi archeologami.

Kiedy Ezał Negahban — były dyrektor irańskiej służby archeologicznej, obecnie pracujący na uniwersytecie stanu Pensylwania — prowadził w 1962 roku prace wykopaliskowe na terenie starożytnego perskiego miasta Marlik, obudził się pewnej nocy na odgłos noża rozcinającego weście do namiotu. Negahban i jego nie uzbrojeni koleżdy musieli odeprzeć napad chłuba tuzina łazegów, potrzaskających sierpami i nożami, a szukających złota, które leżało w grobach znajdujących się poniżej obozowiska archeologów.

Kiedy w 1979 roku archeolodzy radzieccy wykopali mnóstwo złotych koron, biżuterii i figurzek z 6 grobów w królewskich w Tillya Tepe w Af-

ganistanie, wieść o złocie ściągnęła — jedną po drugiej — fale rabusiów.

W Arabii Saudyjskiej wieśniacy złupili Ukhdud — starożytne miasto dawnego państwa królowej Saby i miejsce, gdzie znajduje się rzadko gdzie indziej spotykana, monumentalna architektura z kamienia. Wieśniacy szukali w Ukhdud złota i figurzek z alabastru dla bogatych stołecznych kolekcjonerów.

Znacznym źródłem przemycanych przedmiotów sztuki są muzea III Świata. Kiedy nowo-orleański kupiec, Charles Davis, zwiędział, gdzie w środku lat siedemdziesiątych, jakieś muzeum w Kamerunie, spotkał się z ofertą... kuratora, żeby wybrał sobie, co chce z nie skatalogowanych przedmiotów. Później Charles Davis znalazł

się na krótko w więzieniu za to, że jedną z tych rzeczy kupił. W 1981 roku pewien pracownik nigeryjskiego muzeum narodowego w Lagos skradł z tamtejszych zbiorów 9 wyjątkowo pięknych statuetek i masek z okresu dawnego państwa Benin. Trzy trafiły do nowojorskiej galerii sztuki — Pace Gallery, która powiadomiła o tym władze nigeryjskie.

W końcu 1981 roku złodzieje skradli z Muzeum Narodowego w Peru symboliczną dla tego kraju statuetkę Tumi — figurkę o słonecznym obliczu, stojącą na sztylcie i 30 innych złotych przedmiotów. A potem większość łupu przetopili na złoto, żeby za nie kupić narkotyki.

## AWANTURNICY

Prawdziwi przemycnicy to jednak najczęściej przestępcy środowisk inteligentnych — spośród dyplomatów, dziennikarzy, właścicieli prywatnych handlowych galerii sztuki. Tradycyjnym kanałem jest poczta dyplomatyczna, zazwyczaj dla kontroli celnej niedostępna. Zdarzają się też awanturnicy, jak Edouard Uhart, urodzony w Chile handlarz z paszportem francuskim, dwukrotnie odsiadujący karę w więzieniach europejskich za oszustwo i wystawianie czeków bez pokrycia. W 1981 roku Uhart przywiózł z Kolumbii do Nowego Jorku złota, metrowej wysokości, wyszczerzoną klejnotami monstrancję, wykonaną w 1787 roku dla klasztoru w Tunja. Zaproponowano dyrekcji Muzeum Sztuki w San Antonio jej kupno. Dyrektor zaalarmował władze kolumbijskie. Uhart nabył monstrancję w Kolumbii legalnie za 95.000 dolarów. Nawiasem mówiąc, wartość tego przedmiotu szacuje się dziś na 3 mln dolarów. Wywóz monstrancji z Kolumbii przez Uharta nastąpił bez zezwolenia.

Palną pierwszeństwa za największą bezczelność trzeba jednak przyznać meksykańskiemu prawnikowi i dziennikarzowi o nazwisku José Castaneda, który w czerwcu zeszłego roku wyszedł sobie, jak gdyby nigdy nic, z paryskiej Biblioteki Narodowej, z XVII-wiecznym manuskrytem azteckim pod pachą. Kiedy José Castaneda w 2 miesiące później aresztowano w Cancun, oznajmił policjantom, że po prostu odebrał część meksykańskiego dziedzictwa kulturalnego. W świecie rygorystycznego meksykańskiego prawa o spuściźnie narodowej ów manuskrypt jest własnością państwa. Choć Francja nalegała i nalega na zwrot manuskryptu i ekstradycję J. Castanedy, to ani jedno ani drugie nie jest prawdopodobne. A prasa wynosi tego przemycnika pod niebiosa, niczym bohatera.

Jak przemycnicy przewożą swoje łupy z jednego kraju do drugiego? Rzadko kiedy spławia im to trudność. Tam gdzie granica jest pilnie strzeżona, jak np. amerykańsko-meksykańska, po prostu kieruje się transportem drogą okrężną, przez trzeci kraj, np. Gwatemalę. W Afryce granice są tak dziurawe, że nawet kraj mający, jak np. Zair, rygorystyczne ustawy o wywozie dysponuje „tylnymi drzwiczkami” do poblazliwych sąsiadów, gdzie „łowir” można łatwo sprzedać paserom. Jeśli przemycnika zatrzymają na granicy celnicy, to on „przemawia im do ręki”.

W niektórych krajach, afrykańskich można by prawdopodobnie kupić i wywieźć całe muzeum narodowe — stwierdza Alan Donovan, znany właściciel galerii muzeum sztuki w Kenii.

Kiedy kontrabanda już dotarła do któregoś z głównych ośrodków międzynarodowego handlu przedmiotami sztuki, to szanse przechycenia jej są małe. A zyski wysokie. Główną z okresu dawnej kultury Majów, zrąbowaną w pewnej świątyni w Kostaryce, sprzedano w Paryżu za 9.000 dolarów. W Genewie pewien handlarz dostał 90.000 dolarów za pochodzący z Nigerii XVI—XVII-wieczny półmisek z brązu z okresu dawnego państwa Benin. A najlepsze egzemplarze ceramiki andyjskiej sprzedano w Tokio aż po 450.000 dolarów.

## FALSZYWE POCHODZENIE

Wielkie transakcje są przeważnie zawierane w dyskrecji między handlarzami sztuką a prywatnymi kolekcjonerami. Rzadko dokonują się na oczach wszystkich, na aukcjach. Takim uderzającym wyjątkiem był

5-metrowej wysokości, ręcznie rzeźbione tarcze jakiegoś kacyka maoryjskiego, które widniały na jednej z aukcji zorganizowanych przez firmę Sotheby w Londynie w 1978 roku. Katalog aukcji zawierał fałszywe dane o pochodzeniu tarcz.

Jak się potem okazało, londyński handlarz, Lance Entwistle nabył je za 6.000 dolarów od farmera, Maorysa z Nowej Zelandii, a sprzedał za 65.000 dolarów pewnemu kolekcjonerowi w Europie. Nowa Zelandia wystąpiła z powództwem do sądu brytyjskiego o zwrot tarcz, ale sprawę przegrała. Kraj, który trzyma u siebie marmurowe fryzy z Partenonu i niezliczone inne skarby zdobyte w dniach imperialnej chwały, nie jest zainteresowany tym, żeby oddawać przedmioty sztuki dlatego, że byłoby to zgodne z ustawodawstwem innego państwa.

Ani muzea, ani bogaci klienci nie za bardzo wnikają w to, jak ten czy inny przedmiot sztuki znalazł się poza granicami kraju swojego pochodzenia. Kiedy przemysłowiec Norton Simon kupił wspaniałą, wykonaną z brązu statuetkę tańczącego boga Siwy za 1 mln dolarów od znanego właściciela handlowej galerii sztuki w Nowym Jorku, rząd Indii wystąpił z powództwem o zwrot posądku. W polubownej umowie pozasądowej Norton Simon zgodził się zwrócić Siwę po 10 latach. Okres „wypożyczenia” wygasnie w 1986 roku. N. Simon oświadcza:

— Rząd Indii twierdzi, że Siwa został ukradziony. To śmieszne. Wielkość przedmiotów sztuki z Indii i Azji Południowo-Wschodniej wywożono w ciągu ostatnich 200 czy 300 lat nielegalnie. Ale nazywać to kradzieżą, to coś całkiem innego.

## LINIE FRONTU

W naszych dniach różnica — niegdyś bardzo duża — między „kradzieżą” i „przemyceniem” znacznie się zmniejszyła. Po jednej stronie stoją archeolodzy, np. Oscar Muscarella z Metropolitan Museum of Art w Nowym Jorku, ubolewający nad oderwaniem przedmiotu sztuki od pierwotnego otoczenia, ponieważ niszczy to wartość owego przedmiotu jako klucza do zrozumienia historii. Na przeciwległym biegunie są handlarze i kolekcjonerzy twierdzący, że swoboda handlu dziełami sztuki pobudza rozprzestrzenianie się kultury.

Paryski handlarz, Jean Rouillon mówi:

— Nie da się wręcz orenić wpływu sztuki afrykańskiej na zachodnią. Picasso nigdy nie namalowałby „Panien z Awionu”, gdyby nie widział całej serii masek afrykańskich w jakimś paryskim sklepie.

## PODATEK EKSPORTOWY

Wielkość handlarzy przedmiotami sztuki woli stanowisko kompromisowe. Potępiają rygorystyczne ustawy o spuściźnie narodowej, takie jak w Meksyku czy Peru. Twierdzą, że jest przedmiotów sztuki wystarczająco dużo, żeby zapewnić dostawy dla świetnie prosperującego rynku i jednocześnie nie ogołacać jakiegoś kraju z pamiątek kultury. Niektórzy eksperci sugerują przy tym, że dochody z uregulowanej sprzedaży drobniejszych przedmiotów sztuki mogłyby pójść na finansowanie archeologicznych prac wykopaliskowych i zabezpieczenie lokalnych muzeów.

Atmosfera w świecie dzieł sztuki zdecydowanie się zmieniła. Wielkie muzea są dużo bardziej nieufne wobec przedmiotów, których przeszłość jest niejasna. A czolowi handlarze sztuką którzy niegdyś swobodnie kupowali i sprzedawali, czują chłódny powiew nowej moralności. Pewien handlarz z nowojorski, wycofujący się obecnie z transakcji przedmiotami sztuki III Świata, oznajmia:

— Jesteśmy tym, co Zafodem, który ma kompleks wiry. Nie hede kując się za „role” o opernowy którzy przedzień od wienamiotnych caoów roz osznowali się dziełami sztuki. Cóż, czasy się zmieniają.

I może nadechdził nora, żeby Zachód za tę swoją przyjemność zapłacił.

[„NEWSWEEK”]

